



52 (788) Rok XV

24. 12. 72

Następny numer „Odgłosów“ ukaże się 30. XII. 1972 r.

Świąt Wesolych i Poquodnych  
Życzy Czytelnikom

Redakcja

## ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

KONRAD FREIDLICH



**T**radycyjnym zwyczajem u schyłku roku dokonuje się bilansów i konfrontacji zamierzeń z osiągniętymi rezultatami. Bilansów i porównań majrozmaitszych. Tych prawdziwych — statystycznych i księgowych — i tych, które sumują się w świadomości społeczeństwa.

Rok, który dobiega końca jest pomyślny. Pomyślny dla naszego kraju, miasta i regionu. Wiemy o tym śledząc uważnie kolejne kwartały, miesiące, dekady. To są fakty, które narastały od pierwszego dnia 1972 roku, dzięki ofiarnemu wysiłkowi całego społeczeństwa, dzięki mądrej polityce Partii, stwarzającej dla tej ofiary i wysiłku najlepszy klimat i społeczne uwarunkowania. Był to, mówiąc najogólniej rok realizacji, — kontynuacji dotychczasowych zamierzeń zakrojonych na szerszą skalę, jak również podejmowania nowych inicjatyw.

Był to rok, w którym dokonania wyprzedziły zamierzenia. Nasze wszystkie plany nie tylko zmaterializowały się, lecz zostały znacznie przekroczone. Po raz pierwszy dokonuje się korekty 5-latkowej w górę! Ta korekta w górę dotyczy niemal wszystkich dziedzin życia a szczególnie tych, które składają się na pojęcie naszego dnia powszedniego.

W tym drugim roku po Grudniu nie tylko poprawiło się nasze samopoczucie jako Polaków, lecz ugruntowało się przekonanie, że naprawdę umiemy dobrze pracować i nowocześnie myśleć, że to co zostało w śmiałej perspektywie rozłożone przed Narodem, zostanie na pewno zrealizowane. „Wydłużamy krok” — mówi Edward Gierek i nie jest to zwrot retoryczny, ani propagandowy slogan — to fakty.

Nie miejsce tu na liczby, procenty, dokonania szczegółowe. Żyjemy tymi sprawami na co dzień, tworzymy je przecież sami każdego dnia, towarzyszą im szczegółowe oceny i refleksje. Są one mniej lub bardziej optymistyczne, ale ta refleksja, kiedy się myśli kategoriami państwa, narodu, społeczeństwa — kategoriami przyszłości — nie może być inna niż optymistyczna. Jest pewnością, która nie ma nic z megalomanii, ale również nie ze sławnych kompleksów i atmosfery niemożności. Pewność taka może być tylko siłą motoryczną do dalszego aktywnego działania.

W czasie świąteczno-noworocznym składamy sobie życzenia. Przyjaciółom życzymy po prostu tego samego, co sobie. Dlatego też nasi Drodzy Czytelnicy i Przyjaciele pozwólcie, że złożę Wam w imieniu całego zespołu „Odgłosów” takie właśnie życzenia: **ZYCZYMY WAM TEGO WSZYSTKIEGO DOBREGO**, co sobie samym. Myślę, że w tych dniach sumowania i refleksji, my wszyscy życzymy również tego samego naszej pięknej Ojczyźnie.

Pogodnych dni świątecznego odpoczynku. Dużo szczęścia w Nowym Roku!

JERZY WAWRZAK

CZŁOWIEK  
SIĘ  
RODZI

**Co** jakiś czas narzekamy albo na klęskę urodzaju, albo na klęskę nieurodzaju owoców. Od czego to zależy? — pytam prof. SZCZEPANA PIENIAŻKA, dyrektora Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach, członka Polskiej Akademii Nauk.

— Widzi pani, jak to łatwo ulec pewnym schematom i jak pamięć ludzka



jest zawodna. Klęska nieurodzaju owoców, a przede wszystkim jabłek, polegała na tym, że w danym roku zebrano na przykład 1,2 mln. ton owoców, a w następnym — 500 tys. ton. I wtedy już była klęska nieurodzaju.

Pisała o tym prasa, mówiono w radio. Ale to było przed siedmioma laty. Proszę zresztą sprawdzić w roczniku statystycznym. Od 1966 roku nie ma w naszych sadach przemiennej owocowania. To znaczy, że wahań w zbiorach owoców wynoszą około 20 proc., a nie 300 proc., jak to bywało dawniej.

**W** tej Klinice rodził się przed laty mój syn. Zapamiętałem: ciemny, ponury budynek; szpitalny zapach; mroczna poczekalnia z twardymi ławkami (schodziło się do niej w dół jakimś bocznym wejściem); dalej izba przyjęć, jaskrawo, jak to pamiętam, oświetlona; telefon, który przyniósł mi wiadomość, że to już, że wszystko dobrze; wyszedłem potem do hallu wyłożonego kamiennymi taflami posadzki i zakreśliło mi się w głowie, a pierś rozsadzała dumą. Tuż obok mnie urlopowany żołnierz rozmawiał z lekarzem, zrazu nie mogłem pojąć.

Dalszy ciąg na str. 3

## PREZENTACJE

## SZCZEPAN PIENIAŻEK

— A jak było w tym roku?

— W tym roku choć w kwietniu spadło pół metra śniegu, było 8 stopni mrozu i na niektórych drzewach przemarzły kwiaty, to mimo wszystko nie będzie większych wahań. Sądzę, że różnica wyniesie około 10 proc.

— To znaczy, że warunki atmosferyczne nie były jedyną przyczyną klęsk urodzaju lub nieurodzaju owoców.

— Składało się na to przemienne owocowanie, zaniedbane sady i złe odmiany drzew. Przed 15 laty nauczyliśmy się zwalczać przemienne owocowanie w naszych doświadczalnych sadach. Potem trzeba było nauczyć tego sadowników. Wprowadziliśmy 4 główne odmiany, które owocują co roku: McIntosh, Bankroft — odmiany kanadyjskie oraz amerykańskie — Jonathan i Starking, znacznie lepsze od naszej, poczciwej Koszteli, która owocuje co dwa lata.

A wie pani, skąd się wzięła nazwa Koszteli?

— Nie.  
— Marysieńka zobaczyła w

Jaworowie, u któregoś z arystokratów jabłuszka, które jej się bardzo podobały. Zmusiła swego Jachniczka — jak nazywała Jana III Sobieskiego — aby zasadził je w Wilanowie. Król je posadził, a drzewka rosła, rosła i nie. Można sobie wyobrazić, ile mu kolków na głowie naciosała, bo Kosztele owocują pierwszy raz dopiero po 15 latach. A jak już zaowo-

kwiatów lub zawiązków. Przez to nie obniża się plonów — jakby to mogło się pozornie wydawać — bo to nasiona najbardziej wyczerpują drzewa. A w każdym owocu, niezależnie od tego, czy jest on duży czy mały, ilość nasion jest taka sama. Zmniejszając ilość owoców na drzewie sadownik chroni je więc przed nadmiernym

cowala, to król poszedł do sadu, kazał je zebrać do małego koszyka i pokazał Marysieńce. A ona na to — kosz? teta? I stał Kosztela.

— Czy to znaczy, że nowe odmiany jabłoni wyrugują z naszych sadów Kosztele?

— Można je będzie spotkać tylko w ogrodzie pomologicznym. Stopniowe rugowanie odmian owocujących przemienne z naszych sadów w całym kraju uważam za duże osiągnięcie Instytutu Sadownictwa. Dzięki temu mogliśmy zapewnić stałe owocowanie drzew owocowych. Oczywiście doszła do tego walka ze szkodnikami i podniesienie ogólnej kultury sadownictwa. Nie wystarczy tylko posadzić drzewa, trzeba je także zmuszać różnymi sposobami do takiego owocowania, o jakie chodzi sadownikowi.

— Jak to rozumieć?

— Nawet te odmiany, które owocują po dwa lata, to znaczy po obfitym owocowaniu odpoczywają przez następny rok, można zmusić do corocznego owocowania. W tym celu niszczy się część

wysiłkiem przez co nie otrzymuje na wagę mniej owoców, bo są one znacznie większe.

Poza tym staramy się wprowadzać teraz sady intensywne.

— Czy takie, które dają więcej owoców?

— Wcześniej owocujące. W Turcji mówi się na przykład, że oliwki sadzi się dla wnuków, jablonie — dla dzieci, a winorośl — dla siebie. Jabłoni wchodzi w pełne owocowanie po 25 — 30 latach od zasadzenia. W sadach intensywnych, które mamy już na naszych polach doświadczalnych, drzewa są małe, ale dają duże plony i wcześniej zaczynają owocować. Po dwóch — trzech latach od posadzenia.

— Rozwój sadownictwa wymaga chyba specjalizacji. Tradycyjnie w gospodarstwie rolnym jest wszystkiego po trochu, a sad jest po prostu „przy chacie”.

— I do tego sadu idzie się dopiero wtedy, kiedy już wszystko zrobione w polu. Ale to nie ma nic wspólnego z sa-

Dalszy ciąg na str. 5





Dawno już nie było takiej dezorientacji, jaka od pewnego czasu ma miejsce w sprawie poufnych rokowań między przedstawicielami USA i DRW w Paryżu. Jeszcze przed kilkoma dniami agencje amerykańskie, angielskie i francuskie przewidywały, że pokój w Wietnamie może być zawarty w perspektywie najbliższych trzech dni (takie tytuły dały też niektóre zachodnie gazety swym korespondencjom ze stolicy Francji), po czym rokowania... zostały przerwane. Obaj negocjatorzy: Le Duc Tho i Kissinger rozjechali się do swoich krajów.

W Paryżu panują całkowicie rozbieżne opinie co do wyników dotychczasowych rozmów. Jedni komentatorzy twierdzą, że rozmowy zostały zakończone i tekst porozumienia uzgodniony, inni, że porozumienia nie osiągnięto. Optymiści zwracają uwagę na wypowiedź ministra spraw zagranicznych TRR Republiki Wietnamu Południowego, że „wszystko zależy teraz od Richarda Nixona”, gdyż „trzeba tylko, aby wszyscy porozumienie podpisali”, pesymiści — na oświadczenie rzecznika Białego Domu, z którego wynika, że piętrzą się jeszcze trudności na drodze do porozumienia. Rozpoznanie sytuacji komplikują dodatkowo pogłoski, napływające ze stolicy USA, jakoby między Nixonem a jego negocjatorem zarysowały się rozbieżności. Mnożą się więc pytania, czy pokój zawarty zostanie jeszcze przed świętami, nowym rokiem, czy też dopiero 20 stycznia, w dzień inauguracji drugiej kadencji Nixona?

Pod koniec października Kissinger oświadczył dziennikarzom, że „pokój jest w zasięgu ręki” i niezbędne jest tylko spotkanie dla wyjaśnienia pewnych szczegółów. Od tego czasu minęło ponad 6 tygodni, w czasie których odbyło się kilkanaście dalszych spotkań Le Duc Tho i Kissingera. Czy posunęły one sprawę naprzód — jeszcze nie wiemy. Wiemy natomiast, że za zwołanie odpowiedzialny jest przede wszystkim reżim sajsyński, za sprawą którego Waszyngton uniósł zastrzeżenia do uzgodnionego już wcześniej tekstu porozumienia. Tych faktów, przedłużających wojnę, nie można skomentować inaczej niż jako obawę Sajgonu przed pokojem. Jak zresztą do niego „przygotowuje się” Thieu — pisaliśmy na tym miejscu. Tak więc — nawet na kilka dni przed świętami — trudno prorokować, czy czas naszego świątecznego odpoczynku będzie już dla Wietnamu czasem pokoju.

Na okres Bożego Narodzenia i Nowego Roku przerwane zostały w Helsinkach konsultacje przedstawicieli 32 państw naszego kontynentu. Rozmowy wznowione zostaną 15 stycznia na temat porządku dziennego europejskiej konferencji, jej miejsca i daty. Ustalenie tematyki styczniowych konsultacji — po przedyskutowaniu spraw proceduralnych i zaprezentowaniu przez każdy, uczestniczący kraj, swego stanowiska wobec kwestii, które powinny być dyskutowane na konferencji — wprowadza rozmowy w Helsinkach w nowy etap. Pierwszy przebiegł pomyślnie, nawet lepiej niż oczekiwano. Potwierdził on zmianę atmosfery w Europie i otworzył dalsze nadzieje.

Z wypowiedzi przedstawicieli poszczególnych państw wynika, że większość krajów naszego kontynentu będzie chciała koncentrować uwagę konferencji na problemach Europy i wyłączyć z porządku teże wojskowe aspekty europejskiego bezpieczeństwa, gdyż one kwalifikują się do przedyskutowania na specjalnym forum.

Związek Radziecki zgłosił propozycję, aby porządek dzienny obejmował polityczne problemy bezpieczeństwa, współpracę gospodarczą, naukowo-techniczną i kulturalną oraz kwestie ochrony środowiska.

Polska, wspierając ten projekt, ze swej strony wniosła propozycję trójstronności obrad: dyskusji ministrów spraw zagranicznych, obrad w wyłonionych przez plenarne posiedzenie zespołów oraz ponownie dyskusji ministrów. Jak już pisaliśmy — w trzeciej fazie konferencji mogłoby wziąć udział również szefowie rządów lub nawet państw.

Na kilka dni przed świętami Bundestag wybrał kanclerza NRF oraz zaprzysiężył członków nowego gabinetu. Przy tej okazji Brandt złożył oświadczenie rządowe, zapowiadając aktywny udział NRF w procesach odprężeniowych. Stwierdził on m. in., że jego kraj jest zainteresowany, aby konferencja ogólnoeuropejska doprowadziła do poprawy sytuacji politycznej na naszym kontynencie oraz aby odbyły się dyskusje na temat równowagi, wzajemnej redukcji sił zbrojnych w środku Europy. O zapowiedzianym na 21 bm. podpisaniu układu między NRF i NRD o podstawach wzajemnych stosunków — kanclerz mówił jako o ważnym etapie normalizacji stosunków w Europie. Jest rzeczą znaną, że nowy gabinet boński na swym pierwszym posiedzeniu upoważnił Egoną Bahra do podpisania układu z NRD oraz wystąpił z projektem ustawy, dotyczącej członkostwa NRF w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

I ostatni temat naszego dzisiejszego przeglądu wydarzeń międzynarodowych — parafowanie w Ulan Bator (ze strony polskiej przez min. S. Olszowskiego) polsko-mongolskiego układu o przyjaźni i współpracy. Jest to ważne wydarzenie, wprowadzające oba kraje na tory zacieśnienia wzajemnych stosunków gospodarczych i politycznych. Między obu socjalistycznymi krajami istnieją bliższe i ściślejsze relacje i one właśnie zapowiedziane zostały w tekście układu. Jego znaczenie jest jednak znacznie szersze niż tylko bilateralne.

W. ŚLAWSKI

## ROK 1973

15 i 16 grudnia obradował Sejm PRL. Po dwudniowej debacie Sejm podjął uchwałę o planie społeczno-gospodarczym na rok 1973 oraz ustawę o budżecie państwa. Projekty obu tych dokumentów rząd wniósł już w połowie listopada, również w listopadzie odbyło się w Sejmie pierwsze czytanie tych dokumentów. Następnie komisje sejmowe dokonały szczegółowej analizy i wprowadziły uzupełnienia do projektów. Przedstawienie wyników prac komisji nastąpiło w pierwszym punkcie porządku dziennego. Sprawozdawcą generalnym był pos. Alojzy Mielch. W sejmowej debacie wzięło udział 30 posłów. W imieniu Klubu Poselskiego PZPR głos zabierał pos. J. Szydłak, ZSL — pos. A. Schmidt, SD — pos. W. Lassota. Debatę zakończyło obszernie wystąpienie premiera P. Jaroszewicza.

Przyjęte dokumenty stanowią wierne odbicie głównych tez uchwały VI Zjazdu: przyspieszenie rozwoju gospodarczego kraju. Wytyczone zadania są na skalę naszych ambicji, plan jest trudny i napięty. Charakteryzuje to kilka podstawowych danych, jak: wzrost dochodu narodowego o 9,7 proc., funduszu spożywczo o 9,1 proc., dostaw towarów rynkowych o 10,6 proc., powierzchni nowych mieszkań o 9,5 proc. Są to wszystkie przyrosty od wysokiej bazy, jaką w ostatnich dwóch latach wypracowaliśmy wzniesionym wysiłkiem. Uzyskany w tym czasie 13-procentowy wzrost płac realnych, zwiększenie produkcji przemysłowej o 20 proc., a rolniej o 12 proc., przyspieszenie procesów inwestowania i wysoka dynamika handlu zagranicznego — to wszystko stworzyło mocne podstawy do śmiałego, ale realnego skonstruowania planu na rok przyszły.

W toku sejmowej debaty posłowie dali wyraz społecznemu odczuciu, iż stać nas na więcej, to znaczy na takie przyspieszenie rozwoju gospodarczego, aby jak najszybciej wprowadzić Polskę do rzędu najbardziej rozwiniętych krajów świata. Taki program partii spotkał się z powszechną aprobatą, którą potwierdzili również posłowie w swoich wystąpieniach.

## CENTRALNY ZWIĄZEK RZEMIOSŁA

W Warszawie zakończył obrady dwu-

\* **PO VII PLENUM KC PZPR** toczy się dyskusja o zadaniach młodego pokolenia w rozbudowie kraju. W Komitecie Łódzkim partii — z udziałem i sekretarza KL, B. Koperskiego — odbyło się spotkanie z młodzieżowym aktywem. Na spotkaniu tym stwierdzono, że obecnie trwa popularyzacja tez programowych VII Plenum KC, ale trzeba już coraz skuteczniej przechodzić do ich realizacji. Stanowią bowiem one podstawę do jednolitego programu wychowania młodzieży i zwiększenia jej udziału w budowie drugiej Polski.

\* **ŁÓDZCY LAUREACI VI KONKURSU OSZCZĘDNOŚCI PALIW I ENERGII.** Konkurs ten organizuje już po raz czwarty Państwowy Instytut Gospodarki Paliwowo-Energetycznej, NOT i „Trybuna Ludu”. W ostatnim konkursie wśród nagrodzonych znaleźli się m. in. pracownicy Zjednoczenia Przemysłu Celulozowo-Papierniczego i Biura Projektów Przemysłu Celulozowo-Papierniczego w Łodzi oraz pracownicy Instytutu Techniki Ciepłej w Łodzi.

\* **22 TYSIĄCE INŻYNIERÓW I TECHNIKÓW** z Łodzi i województwa łódzkiego jest członkami NOT. Ostatnio obradowali delegaci tej organizacji na walnym zgromadzeniu, które oceniło dotychczasową pracę NOT i określiło dalsze kierunki pracy. Przewodniczącym Zarządu Oddziału Wojewódzkiego NOT w Łodzi został ponownie inż. Jerzy Jabkiewicz.

\* **MELCHIOR WANKOWICZ** bawił w Łodzi na spotkaniu z czytelnikami. Wziął też udział w otwarciu wystawy poświęconej pierwszemu polskiemu partyzantowi II wojny światowej — mjr Hubali i spotkał się z młodzieżą i byłymi żołnierzami oddziału Hubalczyków.

\* **DYSKUSJA** o nowych domach kultury toczy się już od dawna, jak i dyskusja o dobrej lub złej pracy istniejących domów kultury. Ostatnio postanowiono, że do 1980 roku wybuduje się w Łodzi 3 dzielnicowe domy kultury: na Teofilowie i Dąbrowie oraz trzeci... nie wiadomo jeszcze gdzie. Mają to być nowoczesne domy kultury nie tylko pod względem rozwiązań architektonicznych, ale i wyposażenia. W domach tych mają być baseny pływackie i inne „różności”. Cieszy ta wiadomość, gdyż nie pewna wątpliwość. Słyszę już o budowie owych trzech domów kultury, o pomocy wielkich zakładów pracy, w tym

dnioły Krajowy Zjazd Delegatów Rzemiosła. Zjazd uchwalił statut nowej, zintegrowanej organizacji — Centralnego Związku Rzemiosła — które rozpocznie działalność od 1973 r. Dokonano wyboru władz. Na pierwszym posiedzeniu nowo wybranej rady wyłoniono zarząd, którego prezesem został Leonard Hohensee, działacz Sironictwa Demokratycznego.



Podjęto także podstawową dla rzemiosła uchwałę w sprawie kierunków rozwoju i działalności organizacji rzemieślniczych oraz przyjęto zasady, jakim powinny odpowiadać statuty izb rzemieślniczych.

Główne znaczenie powołania Centralnego Związku Rzemiosła wynika z jego jasno i wyraźnie określonego miejsca i roli w naszej gospodarce. Rzemiosło powinno dążyć do zasadniczego wzrostu świadczonych usług na rzecz ludności, wzbogacając asortyment towarów rynkowych, odgrywać również swoją rolę w eksporcie.

W bieżącym pięcioletcu usługi wzrosną do wartości 22 miliardów zł, a produkcja rynkowa do 15 mld zł — i będzie to istotny wkład rzemiosła do utrwalenia równowagi rynkowej i poprawy zaopatrzenia ludności. Podjęte ostatnio decyzje państwa stwarzają warunki do stabilizacji rzemiosła, określają perspektywy jego rozwoju. Powołanie organizacji rzemieślniczej, która jednolite ramy całej pozarolniczej gospodar-

kę nieuspołecznioną, co umożliwi racjonalne wykorzystanie wszystkich rezerw.

## GMINNE SPÓŁDZIELNIE

Zarząd Centralnego Związku Kółek Rolniczych na swym ostatnim posiedzeniu plenarnym zajął się doskonaleniem zarządzenia gospodarką w kółkach rolniczych. Wytyczono również kierunki działania na rzecz intensyfikacji produkcji rolnej, a zwłaszcza mięsa i mleka.

Intensywna gospodarka wymaga zarówno wzrostu aktywności każdego producenta, jak również wzrostu usług świadczonych dla gospodarstw indywidualnych. Na posiedzeniu Zarządu CZKR stwierdzono, że przy stałe rosnących zadaniach, wzrostu majątku kółek rolniczych (do 35 mld zł) samorząd nie jest w stanie podjąć swoim obowiązkiem. Działacze KR to przeciwieństwo producenta, którzy główną uwagę skupiają na prowadzeniu własnego gospodarstwa. Stąd więc powstała potrzeba powołania w gminach Spółdzielni Kółek Rolniczych. Zadaniem tych spółdzielni będzie przede wszystkim organizowanie różnych, zwłaszcza specjalistycznych usług m. in. w zakresie mechanizacji prac rolnych i transportu, chemizacji rolnictwa, usług warsztatowych, prac remontowo-budowlanych i instalacyjnych. Pewna część usług wykonywana prostym sprzętem pozostanie nadal w KR, ale ich praca w przyszłości koncentrować się głównie będzie na organizowaniu produkcji i szerzeniu postępu w gospodarce chłopskiej.

Powolywanie gminnych spółdzielni następować będzie sukcesywnie, w miarę powstawania odpowiednich ku temu warunków. Do tego czasu dla koordynowania działalności społeczno-gospodarczej na terenie gminy, powołana zostanie Gmina Rady Kółek Rolniczych.

Decyzje CZKR mają więc nie tylko charakter zmian organizacyjnych, ale są ważnym elementem zabezpieczającym maksymalne wykorzystanie środków, jakie państwo kieruje na wieś, aby zasadniczo podnieść wydajność w rolnictwie i utrzymać wysokie tempo wzrostu uzyskane w ostatnich dwóch latach.

J. ŻAK



\* **NIE BĘDZIE „GWIAZD” W PIOTRKOWIE TRYBUŃSKIM.** Poprzednio donosiłem za „Gazetą Ziemi Piotrkowskiej” o afroncie, jaki tamtejszej publiczności sprawiła „gwiazda polskiej piosenki” Urszula Sipińska. Byłem jednak niesprawiedliwy, gdyż afront ten sprawiły dwie „gwiazdy polskiej piosenki” — a taki był tytuł imprezy z jaką przyjechali do Piotrkowa Tryb. — druga był bowiem Andrzej Dąbrowski.

Prezydium MRN w Piotrkowie Tryb. srodcie odegrało się na obu „gwiazdach”, zakazując im... występowania w mieście. Nie będzie więc już „gwiazd polskiej piosenki”: Urszuli Sipińskiej i Andrzeja Dąbrowskiego w Piotrkowie Tryb. A kto mimo afrontu nadal będzie palił sympatią do Urszuli S. i Andrzeja D., ten będzie mógł sobie swobodnie oglądać obie „gwiazdy” w telewizji lub słuchać ich nagrań w radio. Tego Prezydium MRN nie zakazuje. Natomiast „Estrada Łódzka” za krzywdy moralne wyrządzone Piotrkowskiej publiczności zapłacił Komitetowi Budowy Parku Kultury i Wypoczynku na Bugaju w tymże Piotrkowie... 50 tys. zł. Piotrkowowi Tryb.

to się opłaciło, „Estradzie Łódzkiej” — wątpliwe, a Urszuli Sipińskiej i Andrzeja Dąbrowskiego? Bo jeśli za zerwany koncert zapłaci tylko „Estrada Łódzka” i to społecznymi — a więc i moimi pieniędzmi — to ja protestuję! Veto! Nie zgadzam się! I bardzo proszę o wyjaśnienie, czyimi pieniędzmi zapłacono za afront „gwiazd”?

\* **„COCA COLA” W ŁĘCZYCY, GŁOWNIE I ZGIERZU.** Czego to już nie napisano na temat tego orzeźwiającego płynu. Kąsał się publiczność i satyrycy, którzy kiedyś widzieli w Coca Coli symbol imperializmu, a teraz samym im przyszło pić wykipany napój. Mieszkańcy wielu miejscowości mogli jednak nadal tylko o tym czytać i dziwować się, aż oto — sensacja! Coca Cola dotarła już do Łęczycy. Pierwszy samochód z kolorowymi pojemnikami na butelki Coca Colę wywołał nie mniejszą sensację jak niedawno „Łęczycy potwór”, który wyłonił się letniego popołudnia z bagien i mokradel. Ludzie stali przed samochodem i dziwowali się: — przecie, przecie, wielki świat dotarł już do Łęczycy! Maluczko a w Zgierzu i Głownie będą też tak stać na ulicy i dziwować się.

Jak na razie Coca Colę do Łęczycy, Zgierza i Głowna będzie się przywozić 3 razy w miesiącu. Smacznego!

\* **SPORTOWE SUKCESY.** Koszykarki LKS wygrały z wiedeńską drużyną „Union Garant” 81:64 i awansowały do kolejnej rundy Pucharu Europy. Natomiast siatkarki „STARTU” w rozgrywkach ekstraklasy pokonały krakowską „WISŁĘ” 3:1. Zajmują one pierwsze miejsce w tabeli ligowej przed zespołami AZS i „SPOJNI”.

\* **SPORT W POWIECIE** — zajmowało się tym ostatnie Plenum Komitetu Powiatowego partii w Kutnie. Punktem wyjścia do rozważań było stwierdzenie faktu regresu, jaki przeżywały kluby sportowe w Kutnie. Przyczyną takiego stanu rzeczy upatrywano w oderwaniu się szkół od klubów sportowych i w braku zainteresowania klubów młodzieżą szkolną. Stwierdzono, że kluby sportowe poszukują zawodników, nie zajmując się ich szkoleniem i wychowywaniem. Okazuje się, że powszechna to bolączka. W Kutnowskiem również.

M. RODAK



## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).



Dalszy ciąg ze str. 1

— Więc to córka? — powiedział ciężko szeregowiec.  
— Dziewczynka — potwierdził lekarz.  
— Ale dlaczego? — zaprotestował wtedy żołnierz. —  
Dlaczego? Powinien być syn.  
Lekarz uśmiechnął się wyrozumiale.  
— Widocznie... — zaczął.  
— Widocznie, co? — podchwycił natychmiast żołnierz.  
— Widocznie pan źle mierzył — zakończył lekarz.  
Ale ta Klinika zapamiętana przeze mnie od strony poczekalni, ma swoje ruchliwe, pracowite wnętrza zasłonięte przed wzrokiem oczekujących, ma swoje zaryglowane drzwi z ostrzegawczymi napisami: **NIEZATRUDNIONYM WSTĘP WZBRONIONY**, ma wreszcie swoją antyseptykę, w imię której zabrania się odwiedzania położnic i wszelki ich kontakt ze światem zewnętrznym odbywa się za pośrednictwem zaopieczonych pocztą, papier i ołówki są w cenie, listy znoszą na dół siostry albo salowe, można im wręczyć przygotowaną z góry odpowiadź.

Więc kiedy po raz pierwszy miałem przekroczyć tę surową granicę pomiędzy poczekalnią i szpitalnym wnętrzem, a ściślej na własne oczy zobaczyć misterium narodzin, owałam mną dziwna trema. A gdy kolega ze szkolnej ławy, dr Maciej Wardęcki pytał, o czym właściwie chciałbym napisać, zawałam się. Bo czy można wyrazić słowem tajemnicę rozpoczynającego się życia, początek człowieka, pierwszą sekundę istnienia? I jak to właściwie jest?

Więc bełkotałem tylko coś niezrozumiale, czego teraz chyba nie umiałbym powtórzyć. I przypomniało mi się

rzucawka nie byłaby możliwa, gdyby kobieta wcześniej znajdowała się pod kontrolą lekarską, do czego nieustannie zachęcamy. Niebezpieczne dla rodzącej są także choroby serca i oczywiście krwotoki. Mikroklimat łódzki powoduje wreszcie, że notujemy spory odsetek porodów przedwczesnych.

Co pewien czas do pokoju lekarskiego wkracza pielęgniarka i wypowiada niezrozumiale dla mnie zrazu słowa:  
— Rozwarcie na dwa palce.

Potem:

— Rozwarcie na trzy palce.

Patrzę z niepokojem na doktora Wojciecha Doroszewskiego, który sprawuje pieczę nad izbą porodową. Młody, nawet bardzo młody człowiek, ale doświadczony lekarz.

— Cóż, chyba trochę pana zmartwię — powiedział — mamy bardzo spokojny dzień. W izbie znajdują się dwie rodzące, wszystko odbywa się bez najmniejszych komplikacji. Zazwyczaj mamy więcej położnic, ale dzisiaj taśma pracuje na nieco zwolnionych obrotach.

A więc taśma? Urodziłem się w latach wojny w małym mieście i poznałem osobiście akuszerkę, która pomagała memu przyjeźdźcy na świat, wszyscy ją znali, a niektórzy zwracali się do niej „Matko”. Ale to było dawno. Mój syn nie pozna lekarza, który czuwał nad jego urodzeniem, jak nie pozna swoich akuszerów, większość rodzących się współcześnie dzieci. Nie ma dobrego pana doktora, nie ma człowieka w białym fartuchu, jest tylko szpital, jest klinika, jest izba porodowa, jest szpitalne łóżko. I ta porodowa taśma: najpierw izba przyjęć, potem leżenie na bloku położniczym i oczekiwanie na skurcze porodowe, a wreszcie ta wyłożona taflami sala, jaskrawo oświetlona, gdzie kolejno przychodzi na świat dziecko.

Ta porodowa taśma! I kiedy wchodzimy wreszcie do izby, gdzie leżą rodzące kobiety urywa się nagle prowa-

czony jeszcze z matką postrzępioną rurką pepowiny.  
— Chłopiec — powiedziała bez wzruszenia.

Znowu zrobiło się cicho, jakby wszyscy czekali na pierwszy krzyk nowonarodzonego i usłyszałem jego głęboki, przypominający raczej spazm, oddech, który oznaczał, że płuca dziecka oddychają już samodzielnie. Siostra Ziuta rozdzieliła malca od matki przecinając pepowinę. I wtedy z jakimś ogromnym odprężeniem odezwała się milcząca do tej pory położnica:  
— Będzie się nazywał Tomek. No, mąż będzie zadowolony.

Było to tak nieoczekiwane, że wszyscy uśmiechnęli się. Siostra Ziuta zakropiła oczy malca odkażającym płynem, co się pazywa fachowo zabiegiem Credégo. I wtedy, nieświadomego niczego noworodka, pokazała matce. Wydało mi się, że kobieta zrobiła jakiś ruch, jakby chciała przedłużyć tę chwilę oglądzin, ale siostra Ziuta cofnęła już ręce i noworodek powędrował do białego kojca ogrzewanego lampą.

— Ale do męża podobny, będzie miał takie same uszy odstające jak i on — powiedziała znowu położnica w tym czasie, gdy siostra Ziuta dyktowała swojej pomocnicy dane personalne noworodka. Dane te zarejestrowano także na specjalnej tasemce i przyczepiono do rączki maleństwa. To dlatego, aby nie pomieszać go z innymi dziećmi.

Spojrzałem na zegarek. Była godzina 0 minut 25. W tym czasie amerykańscy kosmonauci na statku „Apolo 17” zbliżali się już do orbity wokółksiężycowej. Niebawem było ciemno, nieprzyjazne, nie rozświetlone ani jedną gwiazdą.

Teraz, kiedy dziecko się urodziło, przeszedłem znowu z Maciejem do pokoju lekarskiego. Milczałem. Zaden opis nie odda tego, czym jest poród.

# CZŁOWIEK SIĘ RODZI

jednocześnie stare wierzenie zapisane skrętnie przez Oskara Kolberga w VII Serji jego „Ludu”:

„Każdy rodzący się człowiek ma dla siebie osobną gwiazdę na niebie, która mu świeci, pokiera (dokąd) żyje. Im gwiazda jaśniejsza, tym szczęśliwszy człowiek, jeżeli nierzetelna, przymglona, ciemnawa, to i życie takiego człowieka bylejakie”.

Uśmiechnąłem się, bo tej nocy z dziewiątego na dziesiąty grudnia niebo było czarne, zasnuwane nieprzeziwymi chmurami. Wprawdzie pod wieczór opadła mgła i ziemię ścisnął przymrozek, ale nie stało się przez to jaśniej. Szliśmy z Maciejem po słabo oświetlonych schodach szpitalnych na najwyższe piętro, tam właśnie, gdzie została zlokalizowana izba porodowa lśniąca metalem niklowanych mebli, chirurgicznych instrumentów i białą posadzką. Ubrany w biały, prawie dopasowany fartuch, z furażerką w ochronnym kolorze, która ukryła moje przydługie włosy, wyglądałem na pierwszego rzutu oka jak ktoś z personelu, ktoś stąd, ktoś wtajemniczony.

Ale prawdziwe wtajemniczenie rozpoczęło się dopiero w pokoju lekarskim, gdzie doktor Oszczygł usiłował wytłumaczyć mi na czym polega mechanizm porodowy. A nie jest to sprawa bynajmniej jasna i jednoznacznie ustalona, mimo ogromnej literatury naukowej na ten temat. „Podręcznik położnictwa” prof. dra Tadeusza Zwolińskiego stwierdza:

„Poród jest zjawiskiem hydrauliczno-elastycznym”.

Ale ta naukowa zwięzłość jeszcze niczego nie wyjaśnia: to trzeba zobaczyć!

Niecierpliwiłem się, ale naśladowując lekarzy nie okazałem tego, spokojnie popijając herbatę. Cóż, dla nich to codzienność, a w tego typu klinice ostry dyżur trwa okrągły rok i zawsze znajduje się w pogotowiu pełny zespół operacyjny. A jednocześnie przesuwaliśmy mi się przed oczami opisy porodów, jakie pamiętałem z literatury pięknej. Zławsza niezapomniany obraz odchodzącej na zawsze Cath i osłupienie Henry'ego, cały ten dramatyczny finał „Pożegnania z bronią” Hemingwaya i zdaje się powiedziałem to, bo Maciej uśmiechnął się i zaraz zauważył:

— Cóż, wy pisarze wyszukujecie zawsze tego, co tragiczne, żeby poruszyć. Ale to się działo w roku 1917, a może jeszcze rok później. Dziś śmierć w czasie porodu jest czymś wyjątkowym.

Doktor Oszczygł uzupełnił:  
— To oczywiście nie oznacza, że wszystko jest zupełnie proste. Niestety w Łodzi notujemy ze strony kobiet kolosalne zaniedbania. Są kobiety, które przez całą ciążę ani razu nie zgłaszają się do lekarza i przychodzą dopiero w ostatniej chwili. Niekiedy w bardzo ciężkim stanie, z zaawansowanym zatruciem ciążowym, które wywołuje rzucawkę spowodowaną ogromnym wzrostem ciśnienia krwi. A przecież

dzony przez nie dialog, jakieś pretensje sąsiadki do sąsiadki, jakieś wzajemne sobie okazywanie, że jedna jest dzielniejsza od drugiej. Co mnie uderza? Te kobiety nie mają wieku, nie mają nawet twarzy. Mają tylko nienaturalnie wzdęte, górujące ponad wszystkim brzuchy.

— Pani doktorze.

Szept, w którym jest jakiś imperatyw, błaganie.

— Jeszcze trochę odwagi, to już długo nie potrwa.

Uspokoiła się, jakby obecność lekarza zniosła ból, któremu przecież zapobiec nie można. Bo chociaż podręczniki mówią o „skurczach porodowych”, to wszystko boli, rozdziera, obezwładnia. Wiek rodzącej można poznać tylko z karty przychepionej do łóżka, na oko określić go nie sposób. Obie kobiety są młode, dwadzieścia i dwadzieścia jeden lat, pierwiastki. Przy obu krząta się siostra Ziuta, doskonała położnica z trzydziestoletnim doświadczeniem fachowym. Przykładając słuchawkę do brzucha rodzącej kontroluje tętno niewidocznego jeszcze płodu.

— Co pani chciałaby urodzić, chłopca czy dziewczynkę? — pyta za mnie, Maciej, bo sam nie jestem zdolny do wykrzeszenia choćby jednego zdania.

— Wszystko jedno, byle wreszcie urodzić, byle to się skończyło, panie doktorze.

To blondynka. Ta bardziej niecierpliwa, mniej opanowana. Brunetka jest spokojniejsza, przyjmuje swój los z pokorą.

— A pani?

Odpowiada dopiero po chwili:

— Nie wiem, byle prędzej.

I jakby pod wpływem tych słów, teraz wszystko zaczyna dziać się o wiele szybciej. Nie wiadomo skąd pojawia się „wałek”, drewniana konstrukcja o kształcie pryzmatu, którą podkładają pod plecy rodzącej.

— Niech pani prze — nakazuje siostra Ziuta.

Zapierając się nogami kobieta robi jeszcze jeden bolesny wysiłek.

— Jeszcze dziecko, jeszcze — perswaduje położnica.

Kątem oka dostrzegam, że na nogi rodzącej założono sterylne pończochy.  
Doktor Doroszewski daje prawie niewidzialny znak ręką i rozumiem, że to będzie teraz, że to właśnie na moich oczach dokona się niepojęte zjawisko narodzin, że będę widział tę niewydumaną już transcendentalność. Dostrzegam, że siostra Ziuta zastąpiła sobie usta białą maseczką i wszyscy jej pomocnicy i kontrolujący wszystko doktor Doroszewski.

I choć z całych sił staram się opanować — nie wytrzymałem. Wstydząc się swego odruchu przebiegłem na drugą stronę łóżka rodzącej, a kiedy siostra Ziuta odchyliła ręce zobaczyłem nienaturalnie czerwoną główkę dziecka. Zrobiło się nagle cicho, siostra Ziuta znowu nachyliła się i potem na prześcieradło wyciągnęła maleństwo zła-

Dziesięć minut przed pierwszą przez grube drzwi gabinetu usłyszeliśmy kolejny krzyk. To urodziła blondynka.

— Mamy dziewczynkę — stwierdził potem doktor Doroszewski — zdaje się matka życzy sobie, aby nosiła imię Beata.

Obłożony papierami zaczął wypełniać „Karty zgłoszenia urodzenia noworodka żywego” i szereg innych dokumentów, jakie towarzyszą przyjeźdźcy człowieka na świat, jakby bez tego narodziny nie były prawomocne. Potem siostra Ziuta zaprosiła nas na kawę do swojej dyżurki i zaczęła wspominać pierwsze dni swojej pracy w tym szpitalu, gdzie zatrudniona jest już od dwudziestu pięciu lat.

— I dużo siostra odebrała porodów? — zapytałem walcząc ze zmęczeniem.

— Czy dużo? — uśmiechnęła się siostra Ziuta. — Byłoby miasteczko, powiatowe miasteczko.

A kiedy potem siedłem do pokoju lekarskiego, aby się na chwilę wyciągnąć i rozprostować kości, dostrzegłem w korytarzu na wózku tę młodą brunetkę, która urodziła Tomka.

— Szczęśliwa pani? — zapytałem.

— Zadowolona jestem bardzo. No, zobaczymy co jutro mąż mój powie.

Zatrzymałem się i porozmawialiśmy sobie o życiu, o tym, że o mieszkaniu niełatwo i o tym, jak ona nie mogąc spać w nocy budzona krzykiem sąsiadek patrzyła w prostokąt okna obserwując gwiazdy (nie powiedziała dlaczego). I jeszcze, że bardzo chciałaby w tej chwili mieć dziecko przy sobie, a przyniosła jej chłopca dopiero rano.

— O szóstej, albo i później — powiedziała z jakimś żalem.

Wychodząc ze szpitala, kiedy świeciło ranne słońce, kupiłem w kiosku gazetę. Bo ma chyba raczej współczesny filozof, którego nazwiska nie pamiętam, że rodząc się otrzymujemy w spadku cały świat wraz z jego wszystkimi urządzeniami. Przebiegłem wzrokiem po tytułach. Cóż, hipoteza naszego świata jest ciągle mocno obciążona. „Katastrofa samolotowa pod Chicago. 46 osób zginęło”; „Nowa taktyka zbrodniczych nalotów na osiedla DRW. Polski dziennikarz relacjonuje skutki ataku superfortec B-52 na osadę Da Son”; „Starcia komandosów palestyńskich z armią Libanu”.

A przecież chciałoby się wierzyć, że dzieci tych, którzy urodzili się przy mnie, przyjdą na świat mniej obciążony, mniej złowrogi. Czy potrafimy tego dokonać dla tych wszystkich, którzy przyjdą po nas?

KONRAD FREJDLICH



## ALBUM

### „ZIEMIA ŁÓDZKA”

Pan Tadeusz Olejnik opublikował w 51 numerze „Odgłosów” list, w którym omawia wydany niedawno przez WL album „Ziemia łódzka”. Chciałbym na marginesie tej wypowiedzi pozyczyć kilka uwag.  
Nie podoba się p. Tadeuszowi Olejnikowi tytuł al-

bumu — „Ziemia łódzka”. We wstępie wyjaśniłem, że pod tym terminem rozumie my obszar objęty dzisiejszymi granicami województwa. Oczywiście, taki termin, jeśli chodzi o Łódź, w historii nie występuje; nie ma go także w obecnym podziale administracyjnym. Ale występuje w potocznym użyciu, jest w pewnym sensie synonimem nazwy województwa. Mamy w Łodzi „Teatr Ziemi Łódzkiej” i nikt z tego powodu szaf nie rozdziera, wolę tę nazwę niż np. „Teatr Województwa Łódzkiego”. Jest to zagadnienie, które zachęca do szerszych rozważań, nie miejsce go tu rozwijać. Mnie w każdym razie jako publicyście, ten termin — ziemia łódzka — bardzo się podoba, a nawet urzeka.

Nie podoba się panu T. Olejnikowi, że Działoszyn nazywamy jest przeze mnie miasteczkiem. Wiem, że we

wszystkich encyklopediach współczesnych przy nazwie Działoszyn docepiony jest skrót: w. (wieś). Ale mimo to nazywam tę miejscowość miasteczkiem. Nazywa miasteczkiem Działoszyn Ludwik Straszewicz w pracy (na którą się zresztą we wstępie powołuję) „Województwo Łódzkie zarys geograficzno - ekonomiczny”, PWN, Warszawa 1967. Na str. 122 pisze, że „nowe drogi połączyły zakłady produkcyjne z miasteczkiem i budującym się tam nowym osiedlem mieszkaniowym”. Na str. 170 pisze o osiedlach, które w pewnym okresie historii były miastami i mimo utraty praw miejskich zachowały charakter miasteczek: „Ich układ urbanistyczny, charakter zabudowy oraz spełnianie funkcje usługowe jako ośrodków lokalnych uprawniają do nazywania ich miasteczkami,

zwłaszcza że w ostatnich latach większość z nich ożywiła się gospodarczo”. Wśród tych miasteczek L. Straszewicz wymienia także Działoszyn. Obserwujemy dzisiaj niemal na oczach przemiany wsi w miasta. W miasteczka — z racji spełnianych funkcji, nowych inwestycji gospodarczych i kulturalnych — przeobrażają się chyba już w niezbyt odległym czasie niektóre wsie, w których zakłada się dzisiaj gminy. I miasteczkami zaczniemy je nazywać, chociaż nie dostąpią jeszcze urzędowej i prawnej nobilitacji.

Nie podoba się T. Olejnikowi i uważa to za kolejny błąd, kiedy piszę o „świeżych” tradycjach handlowych Działoszyna. Piszę. Lecz ja sprowadzałem rzecz do tego, że Działoszyn miał „świeży” okres świetności. A znaczy to co innego, niż im-

putuje p. T. Olejnik. Nie sądzę, aby zachodziła potrzeba szerszego omawiania tego punktu. Natomiast domaga się wyjaśnienia sprawa daty nadania praw miejskich Działoszynowi. Oparłem się w tym przypadku na Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, PWN, t. III (rok wydania 1964), która podaje dla Działoszyna: prawa miejskie z XIII w. Błąd typu korektorskiego, za który odpowiada wyłącznie autor, spowodował, że wydrukowano: wiek XII. Oczywiście, że każdego piszącego obowiązuje dokładność i obowiązek sprawdzania informacji. Data 1412 pojawiła się w tym czasie w wielu publikacjach. Wybrałem pierwszą z brzegu, encyklopedyczną, być może dlatego, że ta data w moim szkicu nie odgrywała ważniejszej roli. Ale błąd pozostaje błędem.

Pan T. Olejnik w swoim liście zauważył także potknięcia i błędy rzeczowe, jak mylnie zapisane nazwy niektórych miejscowości, po macoszu potraktowanie południowo-wschodniej części województwa. Album „Ziemia łódzka” na pewno nie jest tym albumem, na który czekaliśmy. Był on przygotowywany w pośpiechu (zemszcilo się to i na mnie, bo ze względów technicznych musialem wykreślić ze wstępu niektóre partie, wedle mnie potrzebne, jak komentarze, czy uwagi dotyczące źródeł, z których korzystałem, opisując czy wyliczając za nimi ciekawsze obiekty, a swoją drogą przydałaby się w albumie errata), miał ten album zaspokoić pierwsze potrzeby i jakby zapowiedzieć następną publikację tego typu, szerszą i bogatszą.

TADEUSZ PAPIER



OPUBLIKOWANY PONIŻEJ ARTYKUŁ ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO TRAKTUJEMY JAKO WYPOWIEDZ KIBICA O DWU POPULARNYCH POLSKICH DRUŻYNACH PIŁKI NOŻNEJ. SĄDZIMY, ŻE ARTYKUŁ TEN — NA PEWNO KONTROWERSYJNY — WZBUDZI ZAINTERESOWANIE WŚRÓD KIBICÓW PIŁKARSTWA, KTÓRYCH NIE BRAKUJE W ŻADNYM ŚRODOWISKU. SPODZIEWAMY SIĘ, ŻE CZYTELNICY — MIMO ŚWIĄTECZNEGO WYPOCZYNKU — CHWYĆĄ ZA PIÓRO, ABY NAPISAĆ DO REDAKCJI O SWOICH UWAGACH NA TEMAT PUBLIKOWANEGO PONIŻEJ ARTYKUŁU, JAK I NA TEMAT POLSKIEGO PIŁKARSTWA W OGÓLE. CZEKAMY NA TAKIE LISTY.

NASZE PRZEKONANIE OPIERAMY NA TYM, ŻE ARTYKUŁ ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO WZBUDZIŁ OSTRĄ Dyskusję RÓWNIEŻ W ZESPOLE REDAKCYJNYM. WIĘKSZOŚĆ DyskUTUJĄCYCH OPowiedziała się po stronie... DRUŻYNY PIŁKARSKIEJ ŁKS.



W. KOTKOWSKI — Arbitraż

## WIELKI LAMENT NA WREDNYCH KIBICÓW

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Jakkolwiek nie jestem dziennikarzem sportowym, postanowiłem zająć się tym razem sprawami Legii i Górnika. I pragnę z miejsca bezczelnie zauważyć, że czuję się do tego powołany.

Będąc człowiekiem skromnym (he, he!), znany powszechnie z wykwinnych manier, notorycznie publikującym swoje grzeczne reportaże na łamach „Odgłosów” i „Polityki” — bez żenady pozwalam sobie przypomnieć, że już kilkakrotnie poruszałem w swojej radosnej twórczości tak zwane palące problemy stadionów, a kiedyś to nawet zdobyłem główną nagrodę w ogólnopolskim konkursie na opowiadanie sportowe.

Niektóre z tych tekstów wywołały w swoim czasie duży szum. Prasowe dyskusje, radiowe polemiki... Dzisiaj, być może, nikt już o tym nie pamięta. Ale to nieważne. Grunt, że ja pamiętam, i wspaniale mi to wpływa na trawienie.

No więc, mając święte prawo i niebiałe powody do zabrania głosu, zacznę od tego, że opowiem się po stronie LEGII...

**G**dybym mieszkał w Warszawie i żył z publiczności piłkarskiej, nie byłoby w tym chyba nic nadzwyczajnego. Ale ja przecież mieszkam w Łodzi i żyję z publiczności społecznej. I na sprawy tych dwóch klubów patrzę z boku, kibicując na co dzień chłopakom z ŁKS-u. Toteż moje uwagi nabierają walorów spojrzenia obiektywnego, z jakim, powiedzmy to wyraźnie, nie spotkałem się dotąd w żadnym łódzkim, śląskim i w ogóle pozastołecznym piśmie.

W Polsce, od dłuższego już czasu, cały bank publicznych i dziennikarskich sympatii rozbiła Górnik. Legia pałeta się chyłkiem w cieniu jego dętej sławy. Nazwiska Lubańskiego, Szoltysika, Banasia i Kostki wymieniane są zazwyczaj z balwochwalczym podziwem — Deynę, Gadochę, Mowlika i Blauta obrzuca się przy każdej okazji pęcynami błota. Bez względu na to, który z tych zespołów jest aktualnie Mistrzem Polski, a także na to, który odnosi większe sukcesy na arenie międzynarodowej — Górnikowi towarzyszą gromkie brawa. Legii — przeraźliwe gwizdy. Zwycięstwa Górnika przyjmowane są eksplozją radości, zwycięstwa Legii kwituje zjadliwa ironia, i na odwrót: w obliczu klęski pierwszy otrzymują sówitą pociechę, a drudzy tęga chłostę.

Dlaczego tak się dzieje? Jakże są przyczyny tej ewidentnej niesprawiedliwości tłumów?

Czym kierują się sprawozdawcy prasowi w swych stronicznych, byle jak napisanych komentarzach, które — zamiast kibiców wychowywać — bez ustanku ich deprawują, dezinformują, ogłupiają i podpuszczają, rozpętując szowinistyczne nastroje w wielu regionach kraju?

Argumentacja, którą najczęściej stosuje się w tej kwestii, jest od początku do końca śmieszna i fałszywa.

### PO KOLEI:

**W** myśl powszechnego mniemania Legia jest zespołem słabszym. Ale to nieprawda. Szczegółowa analiza osiągnięć obu tych drużyn wskazuje na coś zupełnie innego. Górnik pokonał w swej karierze kilka czołowych klubów europejskich, jednakże Legia miała ich na rozkładzie jeszcze więcej. Wystarczy przypomnieć jej dramatyczne, zwycięskie boje z mistrzem Belgii, Francji,

Hiszpanii i Rumunii. Górnik przedarł się w 1970 roku do finału rozgrywek o Puchar Zdobywców Pucharów, gdzie uległ zresztą Manchesterowi City, Poczta Polska wybiła z tej okazji okolicznościowy znaczek, a opinia publiczna i gazety zaakceptowały ten fakt jako największe w dziejach polskiego sportu klubowego wydarzenie. Bzdura. Przecież w tym samym roku Legia, dźwigająca na sobie brzemień Mistrza Polski, przebiła się efektywnie do półfinałów nieporównanie ważniejszego turnieju, jakim jest Puchar Klubowych Mistrzów Europy. Nikt z tej okazji nie wydał znaczka. Komentarze gazetarskie, spychane zresztą na dół kolumn („pod Górnika”) były oschłe, a kiedy Legionieci przegrali na wyjeździe z Fejenordem, nikt nie podkreślił faktu, że tak czy owak, piłkarze z Warszawy przebywali wówczas w puli CZTERECH NAJLEPSZYCH ZESPOŁÓW EUROPY, a więc tam, gdzie Górnik nigdy jeszcze nie był i prawdopodobnie nigdy się nie znajdzie. Dla nikogo chyba nie jest tajemnicą, że różnica pomiędzy Pucharem Zdobywców Pucharów (Górnika), a Pucharem Klubowych Mistrzów Europy (Legia) była taka, jak pomiędzy rozgrywanymi lewą nogą (przy pustych trybunach) spotkaniami faworytów z Rakowem Częstochowa lub Zrywem Parzęczew, a twardymi, poważnymi bojami w ekstraklasie o ligowy byt i niebyt.

### DALEJ:

**W** myśl powszechnego mniemania Legia jest zespołem utworzonym z zawodników „pościąganych”. Weźmy chociażby takiego Deynę albo Mowlika! Wiadomo, gdzie powinni grać! Dlaczego Legia sama sobie nie wyszkoili utalentowanych piłkarzy? To także bzdura. Legia bierze, ale również daje. Oto, dla przykładu, Łódź! Nie chodzi mi wcale o Tomaszewskiego. Chodzi mi o te cudowne lata pięćdziesiąte, kiedy to wytrącony po raz pierwszy z ligowych szeregów ŁKS otrzymał nagle z Warszawy bramkarza Klaczka oraz pięciu znakomitych napastników — Kuboza, Soporka, Kokota, Pilarskiego i Jezierskiego — dzięki którym nie tylko wrócił triumfalnie do ekstraklasy, ale niebawem zasiadł także na mistrzowskim tronie. Poza tym — jak to jest z tym szkoleniem młodzieży w Górniku? Mają tam jakichś trampkarzy albo juniorów? Słychać — Górnik walczy własnymi siłami! Ejże.

Ląpie za telefon i dzwonię do redaktora Mieczysława Wójcickiego, który pracuje w „Głosie Robotniczym” i jest encyklopedią sporową. Pytam, czy Kostka i Gomola są wychowankami Górnika? Gdzie tam! Mając przed sobą skład zabrzańskiej jedenastki (tej, która walczyła ostatnio z Dynamem Kijów) jadę po nazwiskach:

- A skąd jest Wraży?
- Z Szombierka.
- A Oślizo?
- Z Górnika Radlin.
- A Gorgoń?
- Jutro panu powiem. Ale też został ściągnięty!
- A Anczok?
- Z Polonii Bytom. Tak samo zresztą, jak Banaś.
- A Szoltysik?
- Ze Zrywu Chorzów. Tak samo zresztą jak Wilczek i Musiałek.

- A Skowronek?
- Z Rzeszowszczyzny.
- A Lubański?
- Z Piasta Gliwice.
- A Szarmach?
- Panie Andrzeju, dwojga się panu należy z wufu! Przecież jeszcze w tamtym sezonie Szarmach był zawodnikiem gdynskiej Arki.

— Najmocniej przepraszam — ja na to — ale już dojechałem do końca składu i nie widzę tu ani jednego tak zwanego wychowanka. Kogo więc oni w końcu wyszkoili?

— Oj, panie Andrzeju! Przecież mają utalentowanego juniora, Kotanka!

### DALEJ:

**W** myśl powszechnego mniemania Legia jest zespołem, mając łatwość w pozyskiwaniu „świeżej krwi”, nie potrafi stworzyć swoim pupilom odpowiednich warunków treningowych i odpowiedniego klimatu, przez co wielu młodych zawodników nie rozwija się jak należy; przesiadają całymi miesiącami na ławce rezerwowych albo odchodzą na zmarnowanie. Ale Górnik, który w gruncie rzeczy ma wcale nie gorsze sposoby na pozyskiwanie „świeżej krwi”, bije pod tym względem jeszcze gorsze rekordy. Ile razy wystąpił w ciągu ostatnich lat rezerwowi bramkarz tego klubu (a przecież potencjalny reprezentant Polski) Gomola, który w innych barwach znalazłby z miejsca stałe zatrudnienie?

A jak to było (i jest) z Szaryńskim, którego przeflanowano do Zabrza z Rybnika po isticie homerycznej batalii z ambitnym, lecz biednym ROW-em? No, a co się stało z Willimem, który (grając kiedyś u boku brata w Szombierkach) został wessany

przez Górnika i dzisiaj zaginał już po nim wszelki ślad? Warszawa ławka rezerwowych zionie pustką, natomiast ta zabrzańska... ho, ho! byłoby czym zasilić mój ukochany ŁKS i kto wie, czy nie doczekalibyśmy się wówczas tego przetasowania w szczytowych rejonach tabel.

### DALEJ:

**W** myśl powszechnego mniemania Legia jest zespołem, który daje do reprezentacji Polski mniej (i gorszych) zawodników niż Górnik, przez co ma także mniejszy udział w zwycięstwach międzypaństwowych. Pogląd ten podziela od dawna cała polska prasa. Były kiedyś kretynskie (na szczęście niezrealizowane) koncepcje, aby postawić znak równości między Górnikiem i jedenastką państwową; po prostu co jakiś czas odbywałyby się tylko zmiana jedenastu koszułek górniczych na jedenaste czerwono-białych i byłibyśmy zawsze w finałach Mistrzostw Świata. Proszę mnie nie rozśmieszać! Górnik przegrał z Dynamem Kijów, natomiast reprezentacja Polski (ta prawdziwa) wygrała na Olimpiadzie ze Związkiem Radzieckim. Przypominam sobie (i w tym momencie trafia mnie szlag), co wypisywało się przed Olimpiadą w polskich, a więc i łódzkich (wszystkich trzech) gazetach na temat niektórych zawodników Legii:

„Wystawienie Roberta Gadochy jest czystym i oczywistym nieporozumieniem!”

„Jak to się stało, że trener Górski powołał do kadry powolnego i ospalego Kazimierza Deynę?”

„Czy nie można było znaleźć w miejsce tych piłkarzy — innych, bardziej ambitnych i utalentowanych zawodników?”

Można. Tylko zamiast złotego medalu mielibyśmy teraz medal z bruku! Przeżywając olimpijskie emocje poza granicami kraju, permanentnie studiowałem głosy obcych, a więc bezstronnych pism, w których były i takie nagłówki:

„Złote nogi Kazimierza Deyny”.

„Polska — mistrzem, Polak — królem strzelców!”

Oraz takie komentarze:

„W swoim triumfalnym pochodzie po złoto, w rewelacyjnym zespole polskim były dwie prawdziwe gwiazdy: lewoskrzydłowy, ofiarny, szybki jak błyskawica Robert Gadocha oraz najlepszy ze snajperów, kierujący przy tym większością akcji zaczepnych, Kazimierz Deyna”.

A o Szoltysiku nie pisali? Owszem, w nawiasie, jako że wszedł po przerwie. A o Lubańskim. Również — że raczej nie błyszczał. Co na to polscy sprawozdawcy sportowi? Ano, nabrali, rzecz jasna, wody w usta. Ale nie na długo. Znowu tu i ówdzie próbują potracić stare dzwony, dając wyraz swoim skostniałym niechęciom, swoim maniom ogłupiania, dezinformowania i podpuszczania publiczności. Deyna ciągle jeszcze jest zły! Gadocha — tępy! Nowak — leniwy! Pieszko — powolny, a Mowlik — niedziedydowany! Panowie, jak Boga kocham, przestańmy się oszukiwać!

### DALEJ:

**W** myśl powszechnego mniemania Legia jest zespołem bardziej rozbitym i mniej sympatycznym niż Górnik. Na Górnika można polegać! Górnik zawsze dotrzymuje słowa! Łódź ma fioleta na punkcie Górnika i kiedy toczy on na łódzkim boisku pucharowe mecze z Legią, obrzucany jest kwiatami, a Legia obrzucana jest błotem, a przecież...

Legia na boisku zachowuje się godnie, w każdym razie trochę godniej od swego rywala z Zabrza, który przecież kiedyś, w Katowicach, podczas meczu z GKS-em, wywołał wielki skandal, obrażając i szarpiąc sędziego, który — wobec nawątu ekscesów, zmuszony był przerwać mecz, a później posypał się na Górnika hezne kary i napomnienia...

### DALEJ:

**W** myśl powszechnego mniemania Legia jest zespołem, który nie posiada prawdziwych, gorących, zakochanych w sobie kibiców nawet na terenie samej Warszawy. Temperatura na jej meczach jest średnia. Publiczności — aby, aby. Mało transparentów, a dużo ciszy, która dzwoni nieraz boleśnie w uszach.

Warszawiacy, od bdy, wołają już Gwardię.

A tak szczerze, to ubóstwiają Polonię.

I to jest, niestety, ewidentna prawda!

Ale jest to — również, na szczęście, koniec ewidentnej prawdy!

Coś jak gdyby zaczęło się zmieniać! Publiczność jak gdyby trochę się obudziła. I to bez pomocy prasy, która — gdyby wydrukowała chociaż kilkanaście podobnych mojemu reportażu — już dawno miała szanse przywrócić pomiędzy tymi dwoma klubami — Legią i Górnikiem — właściwe, sprawiedliwe proporcje. Ale i bez prasy ludzie w końcu nauczą się patrzeć i myśleć.

Skąd te uprzedzenia?

Po co te gwizdy? To dzikie, atawistyczne, szokujące zacietrzewienie?

### DALEJ (już na zakończenie):

**W** myśl powszechnego mniemania Legia jest zespołem gorszym nawet w dziedzinie kultury. Otóż... puszczono kiedyś parę razy w radio piosenkę pod tytułem „Legia — gola!”, którą przy akompaniamencie kibiców śpiewali sami Legionieci. Bardzo mi się ta prosta, marszowa melodia podobała. Podobały mi się również jej słowa, z których część kurtuazyjnie poświęcono Górnikowi („nawet Turków pobit” — eheh). Niebawem jednak rozpetło się wokół tej piosenki straszne piekło. Że to skandal! Że to niedozwolona reklama! Niech sobie śpiewają w domu, albo w klubowej szatni! Niech im się nie zdaje, że są gwiazdoram! Rzecz znamienna — ruszyli do natarcia różni publicyści, robiąc z igły widły i problem z braku problemu. Przeciwno wróbiom wytoczono ciężką artylerię. Tymczasem Górnik, który nie zawsze przecież jest pierwszy, pozazdrościł tej piosenki Legionistom i idąc w ich ślady, zamówił u Skaldów szmonces pod tytułem „Góra Górnika”. Nie było tam, jasna sprawa, najmniejszej wzmianki o rywalach z Warszawy. Bez sentymentów! Był tam za to ochrypły głos Jana Ciszewskiego i łagodne życzenie: „Żeby Olek był miłością wszystkich Polek”, no i: „Żeby Zyga zwijał się jak fryga”. Losy tych dwóch piosenek są symptomatyczne dla całej sprawy. „Legia — gola!” zniknęła z anteny raz na zawsze. „Góra Górnika” śpiewa się przy różnych okazjach — i to nawet w Telewizji — do dzisiaj.

Niby nie.

Niby drobiazg.

A przecież...

Po co ta heca? Kopmy lepiej piłkę, panowie, zamiast kopać pod sobą doły.





### TAMTE LATA

Wspomnienia o obrazkach Eleonory z Cerechów Gajzlerowej... Właściwie niby nie są żadnym odkryciem... Są to, po prostu, krótkie wspominkowe notatki, bardzo banalne — mówiące o banalnych sprawach...

A jednak jest to wiele sympatyczna lektura. Może właśnie owa prostota i bezpretensjonalność wspomnień Gajzlerowej sprawiły, że czytelnicy...  
Wszelkie jej spotkania z wybitnymi ludźmi są najczęściej spotkaniami przelotnymi — a jednak udało się autorce uchwycić specyficzną atmosferę tych spotkań, zanotować nastroje, ciekawy szczegółik czy obserwację. Właściwie niby nie, jakieś różnice otrzymywane od aktora, jakaś scenka opisywana Solskiego, spędzającego z żoną miłodowy miesiąc...  
Pamiętnikarce najczęściej eksponują swoją osobę, czynią z niej oś, wokół której kręci się wydarzenia. Gajzlerowa stoi z boku, pisze o tamtych latach, jakby opowiadała starym film. Ci, którzy lubią stare, bezpretensjonalne filmy, przeczytają tę książkę z zainteresowaniem.

J. W.

Eleonora z Cerechów Gajzlerowa „Tamten Kraków, tamta Krynica”, Wyd. Literackie 1972, cena 18 zł.

### QUO VADIS, MŁODOŚCI?

Następstwo pokoleń jest zjawiskiem trwałym, cyklicznym i stanowi jedną z elementarnych cech procesu społecznego. „Zmiana warty” ekip generacyjnej nigdy nie odbywa się w sposób bezkonfliktowy, a samo nasilenie owych konfliktów towarzyszących uwarunkowane było charakterem panujących stosunków społeczno-polityczno-ekonomicznych, charakterem aktualnie panującego porządku. Mimo starani i wysiłków, jakich nie szczędziły nigdy pokolenia ludzi dorosłych, aby wychować młodzież według odpowiednich modeli, aby przekazać jej swoje doświadczenia, umiejętności, dobra materialne oraz duchowe — młodzież ta zajmowała najczęściej pozycje kontrowersyjne, krytyczne, czasem wręcz wrogie do stanowisk swoich ojców i nauczycieli. Jednakże rozmiary tego krytycyzmu czy wrogości nigdy nie przybrały tak obszernych i powszechnych rozmiarów, jak ma to miejsce w świecie współczesnym, we wszystkich społeczeństwach doby dzisiejszej, a szczególnie w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Tu nonkonformizm młodego pokolenia stał się już zjawiskiem socjologicznym i politycznym. Główną ośnądą w cieniu spraw ludzi dorosłych „przedsiębiorstwo dojrzalego wieku” zajął w chwili obecnej polityczny, a procesy w nim zachodzące zaczęły wazyć na całokształt układów stosunków społecznych i politycznych. Powstał wyraźny mur dzielący świat ludzi dorosłych od świata ludzi młodych, którzy wytworzyli sobie własne normy postępowania, własne idole wiary, własne, często karikaturne w swych założeniach kodeksy postępowania.

Nonkonformizm młodzieży legitymuje się ogromną rozpiętością postaw — od skrajnej negacji wszelkich zastalych form współżycia społecznego, od jawnej wrogości do wszystkiego i wszystkich, od destruktywnej, patologicznej wręcz obwołności na wszystko, poprzez formy łagodniejszej konfrontacji, aż do podstaw ugrupowań postępowych, u których bunt i próba krytyki zastalego porządku mają charakter konstruktywny i naprawczy.

Niezależnie od punktu oceny aktualnych postaw młodzieży jest faktem bezspornym, iż bierze ona obecnie czynny udział w ogólnoludzkim sporze o współczesność.

Książka Janusza Janickiego usiłuje odpowiedzieć pokrótce na postawione pytania, związane z młodzieżą drugiej połowy lat sześćdziesiątych. Daje zarys struktury buntów, którym uległa młodzież całego Zachodu, Janicki stara się dociec w swojej publikacji, jak dalece posunęły się próby wykorzystania potencjału politycznego, tkwiącego w ruchach młodzieżowych. Ponieważ książka ma właściwie charakter prasówki, trudno oczekiwać od niej czegoś więcej niż niezbyt wnikliwego i szerokiego zbioru informacji.

A. G.

Janusz Janicki „Niepokoję młodzież Zachodu”, Iskry, W-wa, 1972, cena 12 zł.

### SZWEJK PO AMERYKAŃSKU

Bohaterem „Heca z panem sierżantem” jest chłopak z zapadłej wsi. To nie, że owa zapadła wieś znajduje się w stanie Georgia w Ameryce. Zapadłe wiochy wszędzie są takie same, albo podobne.

Chłopaka z Georgii powołano do wojska i oto staje on przed problemem podobnym do problemów przeżywanymi przez takich chłopaków w różnych krajach świata. Proces wchodzenia w zupełnie dla niego nowe środowisko, przystosowywanie się do egzotycznego dlań świata, naiwność i dobroduszość, jakie cechują bohatera — wszystko to wywołuje wiele humorystycznych spięć, wprowadzających ogromne zamieszanie w ustalony tryb i porządek życia amerykańskiej armii.

Dobry wojak Will ma więc swojego przodka w pewnym dzielnym wojsku z Pragi Czeskiej, który nad wojskację przedkładał duży kufel piłznera w knajpie „U Kalicha”. Mae Hyman opisuje nam też podobną jak u Haszka metamorfozę, kiedy z chłopka-roztrępa rodzi się dzielny wojak, który „swoje wie”.

Niebywałe przygody Willa w amerykańskim lotnictwie opowiedziane są z istic anglosaskim poczuciem humoru, nie więc dziwnego, że książka cieszyła się na Zachodzie ogromnym powodzeniem. Nakręcono także na jej kanwie film. „Heca z panem sierżantem”, nie pozbawiona satyry na stonki panujące w wojsku amerykańskim, w zestawieniu z obrazem armii c. k. Austrii w epopei Haszka, jest również dowodem uniwersalności satyryczno-wojskowej tematyki. I rodzi się tylko zdziwiona refleksja, że nasza literatura współczesna nie chce, czy nie może tej tematyki podjąć.

J. W.

Mac Hyman „Heca z panem sierżantem” Wyd. MON 1972, cena 12 zł.

### Dalszy ciąg ze str. 1

downictwem. Sadownictwo powinno być oparte na dużych sadach, od 3 do 5 ha wwyż.

— A co z tradycyjnym sadem przy chacie?

— Powinien zostać. Trzeba, aby przy gospodarstwie był sad na 5 — 10 arach. Nie trzeba wtedy stosować rachunku ekonomicznego, może to być coś w rodzaju „ogródków działkowych”. I dla tych sadów proponujemy na przykład jabłoni odporną na parch — jesienną Prime.

— W kraju mamy jednak regiony, gdzie sadownictwo stanowi podstawę gospodarstwa rolnego.

— Największym regionem upraw drzew owocowych jest Grojeckie koło Warszawy. Są tam wprawdzie dobre gleby, żdatne pod inne uprawy, ale zdecydował rynek chłonny na owoce. Następnym takim regionem jest Sądectwo, potem — Sandomierskie. A ostatnio kształtuje się nowy rejon — pomorski.

— Do tej pory mówiliśmy głównie o jabłkach.

— Ale to wszystko dotyczy również gruszy. I jabłki i grusze można uprawiać wszędzie.

— A truskawki?

— To bardzo ciekawa roślina.

— Właśnie, jesteśmy przecież „truskawkowym mocarstwem”.

— Raczej — byliśmy. Polska zajmowała drugie miejsce w świecie. Teraz trochę to się zalamalo. Zdecydowały warunki klimatyczne. Były takie 3 lata, kiedy rośliny wymarły, potem zgnily. Ale mimo wszystko zbieramy około 100 tys. ton. Naszymi truskawkami interesują się zagranicznicy kupcy, udzielają nam kredytów na

ki naszych prac nad tymi uprawami, jakie prowadzimy tu w Skierniewicach i w innych zakładach Instytutu Sadownictwa, położonych w różnych częściach kraju.

— Dlaczego Instytut Sadownictwa powstał i rozwinął się właśnie w Skierniewicach?

— Trochę to był przypadek. Dla kraju nie ma większego znaczenia, gdzie taki Instytut powstaje, bo nie decyduje u nas klimat — drzewa owocowe można uprawiać wszędzie. Wprawdzie Skierniewickie i Łowickie są regionem sadów, ale i ten moment nie zdecydował. Jeszcze od przedwojny były w Skierniewicach katedry sadownictwa i wazrywnictwa SGGW. Kiedy w 1946 roku wróciłem ze Stanów Zjednoczonych zacząłem pracować w Skierniewicach w ówczesnej katedrze sadownictwa. Instytut powstał dopiero w 1951 roku.

— Czy również przypadek zdecydował, że został Pan Profesorem sadownikiem?

— Nie jestem w swojej rodzinie pierwszym sadownikiem, bo mój dziadek miał niewielki sad, a potem miał go ojciec. Pochodzę z Garwolińskiego. Prawdę mówiąc, kiedy poszedłem do gimnazjum, nie myślałem, że będę sadownikiem. Studiowałem na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Rośliny interesowały mnie od dzieciństwa, ale studiowałem bardzo teoretyczny dział biologii, cytologię — naukę o komórkach. Nawet mi się to bardzo podobało, tylko w miarę przybywania lat dochodziłem do wniosku, że jest to kierunek nauki bardzo mało związany z bezpośrednimi potrzebami ludzi.

— Myśli pani o owocówce jabłkowiec?

— Przede wszystkim.

— Potraktujemy ją atomem.

— Zartuje Pan Profesor.

— Nic podobnego. Podpisaaliśmy umowę z Międzynarodową Agencją Atomową w Wiedniu, organizacją podległą FAO. Brzmi to nieprawdopodobnie, trochę jak w tym powiedzeniu, że kiedy konia kują, żaba nogę podstawi, bo niby skąd do biednej owocóweczki aż energia atomowa. Okazuje się jednak, że energia atomowa może być pomocna w stosowaniu biologicznej metody walki ze szkodnikami roślin. Kiedy wyhoduje się sztucznie kilka milionów owocówek, to samce podda się naświetlaniu izotopem promieniotwórczym kobaltu 60, aby je wysterylizować. Wypuści się je do sadów, a wtedy samice, które się skojarzą z nimi, zamiast z normalnymi samcami, nie wydadzą potomstwa.

— Ale to dopiero nasze zamierzenia. Wspominał o tym jako o interesującej owocówce.

— A co w swoim dorobku naukowym uznalby Pan za najważniejsze?

— Chyba dwie prace. Pierwsza — to coroczne owocowanie w sadach. Ja to właściwie zacząłem wprowadzać, a potem kontynuowali tę pracę moi uczniowie.

— Druga — to murawa w sadach.

— A jakież znaczenie może mieć murawa?

— Dawniej w większych sadach siało się zboże, a w innych utrzymywało się czarny ugor lub lubin na przeoranie. Wprawdzie murawa znacznie wyciąga wil-

wałem prawie wszystkie.

— A jaki owoc, z tych które widział Pan w swoich licznych podróżach, uważa Pan za najdziwniejszy?

— Najdziwniejszy jest nanercz, który składa się z dwu części — orzecha nanerczowego i wyrastającego później pod nim jabłka nanerczowego. Dziwnym owocem jest też synsepal, czyli inaczej — cudowny owoc. Kształtem przypomina wydłużoną winię i ma czerwoną barwę. Zawiera miraculinę, składnik, który zmienia smak. Po zjedzeniu kilku takich owoców można zjeść wszystko, a smak tego będzie cudowny. Próbowałem. Prawda.

— Synsepal powinno się podawać w niektórych naszych restauracjach.

— Zapewne, ale niestety nie importujemy tych owoców.

— Ostatnio pokazały się granaty i mango, tylko mało kto wie, co to jest i jak to się je.

— Bo my proszę pani, choć mamy dobre zapotrzebowanie w owoce i jemy ich sporo w porównaniu z innymi narodami, to nie potrafimy ani ich sprzedawać, ani podawać do stołu. Kiedy latem patrzę, jak u nas sprzedają truskawki, to ogarnia mnie zgroza, bo przecież powinno się je sprzedawać w małych pudełkach plastikowych, a nie rzucać do torebki jak murawę zaprawę. Podobnie nie mamy tradycji spożywania owoców. Po obiedzie nigdy nie podaje się u nas deser ani jabłek, ani innych owoców.

Ostatnio pokazały się na rynku limy, które bierze się za cytryny. Limy są mniejsze, bardziej zielone, mają

# Szczepan Pieniążek

budowę chłodni, w których zamraża się truskawki i potem eksportuje. Truskawka to żywa dewiza i niezwykle opłacalna uprawa.

— Ale nie dlatego powie działem, że to bardzo ciekawa roślina.

— A dlaczego?

— Truskawki nie znoszą żyznej gleby. Doskonale rosną na piasku, ale boją się suszy. Niedaleko Skierniewic mamy poletkę doświadczalną, od 1920 roku są one jednakowo nawożone lub nie nawożone wcale. Mamy takie poletki, które przez 50 lat nie otrzymały ani grama nawozu. Żyto rodzi tam od 3 do 5 q z ha, ale truskawki dają 12 ton z hektara.

— Przy sprzyjających warunkach klimatycznych?

— Tak. Potrzeba jedynie sztucznego nawadniania w czasie suszy. Produkcenci z NRF proponują nam ostatnio kupno przenośnych deszczowni na warunkach kredytowych. Można tymi deszczowniami nawadniać 6 ha pod truskawkami. Jedna deszczownia kosztuje tyle, co 6 ton zamrożonych truskawek. Stosowanie deszczowni powinno podnieść zbiór z hektara średnio o 3 tony w roku.

— Można wobec tego mieć nadzieję, że powrócimy na drugie miejsce wśród światowych producentów truskawek.

— Przygotowuje się decyzje, które powinny do tego doprowadzić.

— A jakie „nowości” ma do zaproponowania rolnikom Instytut Sadownictwa?

— Proszę nie spodziewać się sensacji. Pracujemy wprawdzie nad rozwojem uprawy żurawiny, bo jest to owoc poszukiwany na rynku i bardzo pożywny. Żurawina miejscowa ma jednak małe owoce, dlatego chcemy sprowadzić odmianę amerykańską, która ma duże owoce, ale jest trudną i skomplikowaną uprawą, wymagającą wysokiej specjalizacji gospodarstwa.

Pracujemy też nad rozwojem uprawy wysokiej borówki. Ale to wszystko są dopiero począt-

ki w 1938 roku SGGW zaproponowała mi stypendium na studia w Stanach Zjednoczonych, pod warunkiem, że zajmę się sadownictwem. Propozycję przyjąłem z przyjemnością. I tak widzi pani — znów po trosze zdecydował przypadek.

W Stanach Zjednoczonych byłem 8 lat. Zastala mnie tam wojna. Zrobiłem doktorat i zostałem profesorem. Do kraju wróciłem w 1946 roku. Kiedy powstał Instytut było nas 9 pracowników naukowych. Teraz jest już prawie 130, w tym 18 profesorów i docentów oraz 40 doktorów.

— Wspominał Pan, że Instytut ma także swoje filie.

— Dwanaście zakładów doświadczalnych w całym kraju, które dysponują 3,5 tys. ha ziemi i 1,5 tys. ha sadów. Są to nie tylko sady doświadczalne, ale i sady przykładowe.

Kiedyś ktoś bardzo mądrze powiedział, że polski chłop nie wierzy w żadne słowa, a w to, co widzi, wierzy tylko w połowie. I u nas na początku było tak rzeczywiście. Teraz już się zmieniło. W ciągu roku do naszych sadów w jednym tylko zakładzie przyjeżdża około 4 tys. ludzi. Wprowadziliśmy bardzo surowy reżim, w myśl którego, w taki sam sposób traktujemy grupę, jak i jednego rolnika. Oprowadzamy go i pokazujemy wszystko, co go interesuje.

— I teraz już rolnicy wierzą w więcej niż połowę?

— Różnie z tym bywa. Na początku, gdy wróciłem ze Stanów Zjednoczonych bardzo propagowałem nową odmianę jabłoni — McIntosh. Chłopi zaczęli ją sadzić, ale szybko odrzucili i patrzyli na mnie krzywo. Przede wszystkim chcieli, żeby dać tej odmianie polską nazwę, a później sami ją wymyślili — „parszywiec amerykański”. To dlatego, że była ona bardzo podatna na parch jabłoniowy. Teraz, kiedy mamy już skuteczne środki do zwalczania tej choroby i kiedy nauczyliśmy sadowników właściwie je stosować — odmiana przyjęła się.

— Sadom grożą jednak jeszcze inne plagi.

— Nie, ale znów pomógł mi przypadek. Rok 1962 był bardzo mokry. Do naszych sadów, gdzie był ugor, nie można było wjechać ani ciągnikiem, ani nawet koniem. Wszystko grzęzło. Natomiast w jednym sadzie koło Siedlec mieliśmy między drzewami co drugi pas z murawą. Po murawie opryskiwacz mógł swobodnie jeździć. Efekt tego zobaczyliśmy dopiero jesienią. Drzewa od tej strony, gdzie była murawa i gdzie mógł jeździć opryskiwacz miały zdrowe, duże jabłka, a z drugiej — gdzie był ugor — same parszywki. Zwiędziały sad pytał: — coście zrobili? — A właśnie — odpowiadali nasi pracownicy — to pożytek z murawy. Z murawy jest jeszcze i taka korzyść, że do nawożenia gleby nie potrzeba obornika. Wystarczy skosić trawę i pozostawić ją na miejscu. W ten sposób naturalnie nawozi się glebę.

— Mówił Pan Profesor o swoim praktycznym dorobku naukowym. A Pańskie publikacje?

— Będzie tego przeszło 50. Pierwsze wydałem jeszcze w Stanach Zjednoczonych. Teraz opracowuję siódme już chyba wydanie podręcznika akademickiego „Sadownictwo”. Mam też sporo prac popularnych: „Dookoła sadowniczego świata”, „Gdy zakwitną jabłonie” i napisaną razem z żoną książkę „Owoce krajów dalekich” oraz inne.

— Z tej ostatniej książki wynika, że próbował Pan wszystkich owoców świata. Jakże uznalby Pan za najsmaczniejsze?

— Mango, pomarańcze, ale nie owoc a sok ze świeżego owocu, i brzoskwinie, ale nie nasza, a tę z krajów południowych, której owoc ma od 150 do 200 g. A jeśli chodzi o próbowanie owoców, to rzeczywiście kosztowa-

łem więcej niż połowę.

— Jak to było Panie Profesorze z rajskim owocem? Wersji jest kilka.

— Na pewno nie było to jabłko, bo na terenie, gdzie lokalizuje się hipotetyczny raj, nigdy jabłonie nie rosnę. Jedni sądzą, że były to morele, inni — w tym nasz Radziwiłł Sierotka w „Perygrynacji do Ziemi Świętej” — uznali, że był to banan, bo tylko w liściu banana łatwo mógł schować się wąż, a poza tym łatwo można było się takim liściem okryć.

— Jeszcze inni rajskim owocem nazywają graperfruit.

— Jest to mieszaniec znaleziony przed 150 laty i to kupcy w celach reklamowych nadali mu nazwę rajskiego owocu.

— A jakie sady, które Pan widział są najpiękniejsze?

— Zdziwi się pani, ale sady jabłoniowe. Migdał choć kwitnie przed zaczątkami liści i bardziej obficie niż jabłoni, to kwiat ma biały. Kwiaty jabłoni mają natomiast piękny, lekko różowy odcień. Za to sady cytrusowe pachną najsilniej. Czasem z odległości 5 km już czuć ich zapach. Zresztą mam teraz w domu pomarańczę, która akurat zakwitła i tylko kilka kwiatów napelnia swoim zapachem niemal cały dom.

— Właściwie już nie muszę pytać, jak Pan odpoczywa i czym się Pan interesuje po pracy, bo niewątpliwie wolny czas poświęca Pan owocom cytrusowym.

— Tak. I to nie tylko w publikacjach. Mam w domu krzew awokado, saponille, oliwkę i jeszcze kilkanaście innych. A oprócz tego lubię kwiaty, które sam uprawiam w ogródku.

— A poza tym?

— Literaturę. Zawsze lubię się, że będę miał tyle czasu, aby móc zaglądnąć częściej do literatury klasycznej.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



# Łodzianie 1972 roku



LEON GOMOLICKI

Krytyka uważa go zgodnie za jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy polskich. A przecież do literatury, jeśli nie liczyć młodszych, zapomnianych prób, wkroczył jako człowiek dojrzały, naukowiec raczej niż pisarz, rusycysta. „Wiem, że termin literatura — powiedział w jednej ze swych książek — jest ogólnikiem, że istnieje literatura różna, wypływająca jak rzeki z różnych źródeł. A te źródła wytryskują z baśniowej skały fikcji, która pozostaje rzeczywistością rzeczywistą od najrzeczywistszej rzeczywistości.”

Wbrew temu wyznaniu w każdej powieści Leona Gomolickiego znać głęboką znajomość realiów i przedstawianych spraw, a własną biografie uczynił tematem wielu napisanych przez siebie książek. Gdy chciał napisać powieść o środowisku robotniczym porzucił swoje studia literackie i poszedł pracować do Zakładu Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego. W ten sposób zrodziło się „Białe runo”, powieść o socjalistycznej fabryce i nieprodukcyjnej, lecz filozoficznej. Był to zresztą powrót do wcześniejszych zainteresowań pisarza, który w końcu lat czterdziestych ogłosił na łamach jednego z dzienników powieść historyczną pt. „Lokaut” nagrodzoną na konkursie. Rezultatem zainteresowań łódzkich był także zbiór opowiadań „Wieczory nad Łódką”, do których zainspirował pisarza bałucki folklor. Nie dziwmy się więc, że w r. 1961 przyznano mu za całokształt twórczości nagrodę literacką miasta Łodzi.

Uwieńczenie nastąpiło, gdy był już pisarzem znanym i docenionym, autorem głośnej „Uciezki”, powieści nagrodzonej na konkursie Wydawnictwa Łódzkiego, w którym zresztą podjął później pracę jako redaktor. A przecież ta powieść o dzieciństwie w wolińskiej wsi stanowiła dopiero zapowiedź i początek właściwych zainteresowań i dokonań pisarskich Leona Gomolickiego, początek cyklu rodzinnego, w którym potrafił włączyć osobiste przetworzone dramaty i panoramy spraw współczesnego świata. Interesuje go zawsze człowiek wraz z wszelkimi uwarunkowaniami, które kierują jego postępowaniem, osadzony w historii i w czasie teraźniejszym, nawet człowiek przyszły. W powieści „Arka” pyta przecież: „Czy zabierzemy ze sobą z Ziemi wszystkie słowa? (...) Nie nie wszystkie. Czy wszystkie pojęcia? Nie, nie wszystkie. Czy całą wiedzę o naszej przeszłości? Nie, nie całą. Czy wszystkie pomysły? Nie, nie wszystkie. Lecz tylko takie, które posłużą ulepszeniu naszego, nieśmiertelnego od dziś, wspaniałego, starego, ale nie starzejącego się, wiecznego Świata.”

I te słowa Leona Gomolickiego wystarczą chyba za wszelką rekomendację.



PAWEŁ KOWALSKI

Chyba niewielu jest łodzian, których nie interesują losy piłkarskiej jedenastki LKS. Entuzjaści tej drużyny, pamiętający czasy kiedy „rycerze wiosny” z powodzeniem walczyli o tytuł mistrza Polski, od dawna nie mieli powodów do radości. Spadek do II ligi, potem wprawdzie powrót do pierwszej, ale mało efektowna gra i dramatyczna obrona przed spadkiem kosztowała kibiców sporo nerwów. Kiedy piłkarze LKS rozpoczęli w tym roku jesienne rozgrywki trudno było przypuszczać, że pod koniec rundy drużyna ta będzie miała szansę nawet na zdobycie tytułu „mistrza jesieni”. Była to wielka radość dla łódzkich kibiców.

Niektórzy widzą w mnie głównego bohatera tej rundy, ale przecież 15 cennych punktów, jakie wywalczyła drużyna i dobre, szóste miejsce, to przede wszystkim zasługa samych zawodników — mówi Paweł Kowalski, od początku bieżącego sezonu piłkarskiego trener LKS. Co by jednak trener nie mówił, fakt jest jednak niezaprzeczalny — lepsze czasy dla łódzkich piłkarzy przyszły wraz z objęciem przez niego trenerskich obowiązków. I nie był to przypadek, bo przecież był także utalentowanym piłkarzem, który — jak się okazuje — potrafi teraz przekazywać swoje umiejętności i doświadczenie innym.

Zainteresowanie piłką nożną, zrodziło się jeszcze w dzieciństwie. Paweł Kowalski zapisał się do sekcji piłkarskiej Pabianickiego Towarzystwa Cyklistów, w czasie służby wojskowej występował w drużynie Śląska — Wrocław, wreszcie od 1960 roku zwiózł się z LKS. Czynna kariera zawodnicza trwała równo 10 lat. Grał w napadzie, w pomocy i w obronie, ośmiokrotnie występował jako reprezentant Polski. Będąc zawodnikiem ukończył Studium Nauczycielskie w Łodzi. W roku 1970, kiedy już wycofał się z czynnej kariery sportowej, ukończył kurs trenerski i w 1971 roku pracował jako asystent trenera LKS.

Paweł Kowalski miał sporo obaw przed rozpoczęciem samodzielnej pracy. Z wieloma zawodnikami, których teraz trenuje, jeszcze przed dwu laty rozgrywał mecze. — Zнали moje dobre strony, ale znali i minusy — mówi. Swoją koncepcję pracy z zawodnikami oparł przede wszystkim na wzajemnym zaufaniu. — Zawsze rozmawiam z zawodnikami, nie robię tajemnicy z ustalenia składu i często korzystam z podpowiedzi chłopców — mówi trener Kowalski. — Pozwalam im na inwencję na boisku i nie krępuję jakimś z góry ustalonym schematem gry. No i przede wszystkim w nich wierzę.

Chciałby zainteresować najmłodszych zawodników sprawami pozasportowymi, przedstawić im propozycje kulturalnego i pożytecznego spędzania czasu. A plany sportowe? Nie ma prawa być gorzej niż w rundzie jesiennej.



ZOFIA MITUKIEWICZ

— Wszystko co robię, staram się robić dobrze i nie widzę w tym nic nadzwyczajnego — powiedziała Zofia Mitukiewicz, kiedy dowiedziała się, że będzie kandydatką do miana Łodzianina 1972 roku. — Chcę stworzyć dzieciom dom, a jest to taka sama praca jak inne. Chcę zastąpić im utraconą rodzinę i w tym może cała trudność tego, czego podjęłam się świadomie, w poczuciu całej odpowiedzialności.

Nauczycielką została przed 22 laty. Zaraz po ukończeniu Liceum Pedagogicznego poszła do pracy w Łącku koło Płocka. Pochodzi z Gębina — również położonego niedaleko Płocka. Do Łodzi przeniosła się w 1952 roku, a u podstaw tej decyzji leżała chęć dalszej nauki.

— Życie tak mi się układało, że musiałam wybierać najbardziej odpowiadające mi warunki — mówi. — W Łodzi mogłam pracować w szkole wieczorowej, a rano zajmować się dziećmi i uczyć się.

Pracując i wychowując dwojkę swoich dzieci ukończyła Instytut Pedagogiki Specjalnej w Krakowie, a później Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie. Przeniosła się do pracy w szpitalu przy ul. Żeromskiego, gdzie uczyła dzieci odbywające tam kuracje. W tym właśnie czasie, gdzie przed dwoma laty stała się mamą dla dwojga obcych dzieci.

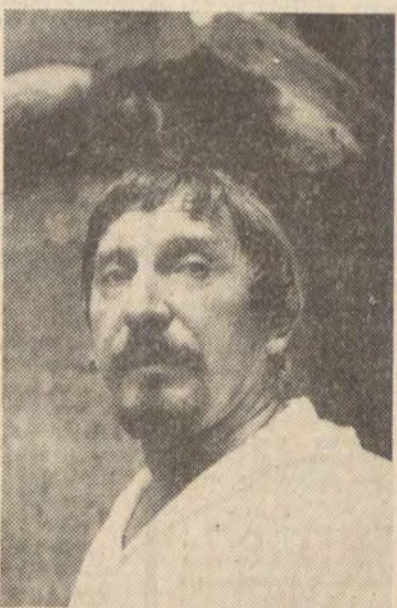
Dostała list z Gębina od swojej matki, że sąsiadka zostawiła w nocy dwoje dzieci i wyjechała w niewiadomym kierunku. Nie namyślała się długo. Wsiadła w pociąg. Wróciła do Łodzi z dwojgiem opuszczonych dzieci. Tak narodziła się łódzka rodzina zastępcza. Wzbudziło to zainteresowanie łódzkich władz oświatowych, Zofii Mitukiewicz podsunęto myśl zwiększenia liczby wychowywanych dzieci. Dzięki temu można byłoby przyjąć je z państwową pomocą. I tak też się stało.

Obecnie w domu przy ul. Więckowskiego mieszka dziesięcioro dzieci.

— Wszystkie są moje — mówi Zofia Mitukiewicz — bo chcę, abym była ich mamą. Chcę więc im pomóc, aby wyzbyły się swoich skrzywień psychicznych i czuły się tu razem bardzo dobrze. A że zawsze staram się robić wszystko dokładnie i starannie, to myślę, że i to mi się uda.

Państwo pomaga w utrzymaniu domu przy ul. Więckowskiego, ale w pojęciu dzieci tam mieszkających utrzymuje ich mama Mitukiewicz. Dzieci wiedzą bowiem, że to zawsze „mama daje na wszystko” i tak właśnie dzieje się i w tej rodzinie. Skąd mama bierze, to przecież już dla nich nie jest ważne.

Władze oświatowe interesują się poczynaniami Zofii Mitukiewicz, ale powodzenie tego przedsięwzięcia zależy jedynie od jej umiejętności, wiedzy i zdolności poświęcenia się dla innych.



LESZEK RÓZGA

Niezwykła, głęboko zapadająca w pamięć jest sztuka Leszka Różgi, oryginalna, pełna znaczących metafor, pełna treści intelektualnych, filozoficznych, humanistycznych. Ten, kto raz zetknął się z grafikami i rysunkami Różgi, kto zadał sobie trud cierpliwego ich odczytania, będzie ich szukał, będzie czekał na nie z prawdziwą niecierpliwością, choć nie jest to przecież sztuka łatwa, dostarczająca li tylko estetycznej rozrywki, nie jest to sztuka która bawi — ona zmusza do myślenia, do refleksji, do dialogu. Poprzez swój ciężar gatunkowy, poprzez zawarte w sobie wielorakie treści, zajmuje wyjątkowe i poczesne miejsce we współczesnej grafice polskiej. Przedmiotem twórczości Leszka Różgi był i jest zawsze człowiek, Ludzkie, nieproste sprawy, jak strzałka busoli prowadząca okręt po bezkresach oceanu, wyznaczająca drogę tej twórczości, która w swej formie odwołuje się do tradycji starych mistrzów grawiury, a w treściach swoich jest na wskroś aktualna, daje świadectwo czasu, w jakim powstaje.

Różga urodził się w Zgierzu w 1924 roku. W czasie wojny wywieziony został na przymusowe roboty do Niemiec, przebywał czas jakiś w obozie jako numer 414. H. Pustkowski w jednym z katalogów do wystawy Różgi pisze:

„W wielu grafikach (...) znajduje się tajemnicze signum. Przypomina ono dwa male trójzęby przedzielone harpunem. Przypadek rzekłby, że znak ten da się rozszyfrować. Jest to po prostu symetrycznie zapisany nr 414, obozowy nr Różgi. Uwyraźniło to jeszcze bardziej metaforyczną zasadę konstruującą twory Różgi. Są one przenośnią nieustannego niepokoju”.

W latach 1947/48 pracuje Różga jako inkasent, potem kreślacz w Zarządzie m. Zgierza. W tym też czasie robi maturę w liceum im. St. Staszica w Zgierzu. W 1948 r. rozpoczyna studia w PWSSP w Łodzi. Przenosi się następnie na ASP do Krakowa i wreszcie do Katowic na Wydział Grafiki Propagandowej, gdzie też w 1954 roku uzyskuje dyplom artysty grafika.

Od roku 1959 bierze czynny udział w wystawach w Łodzi oraz na terenie całego kraju i w ekspozycjach międzynarodowych. Jest wielokrotnym laureatem nagród i wyróżnień na wielu konkursach i wystawach. W 1971 roku Różga zostaje laureatem nagrody III stopnia Ministerstwa Kultury i Sztuki za osiągnięcia twórcze w dziedzinie grafiki. St. K. Stopczyk pisze o sztuce Różgi:

„Świat Różgi jest światem obsesji, gorączki, chwil trwożnych i ciężkich, lecz nie ma w tym świecie okrucieństwa ani sadyzmu. Ani cienia złej myśli. Różga, kreując ten świat, nie utożsamia się z nim. Nie może się utożsamiać, bo to jest pieśń protestu, jak ongi sceny apokaliptyczne w czasach wielkiego niepokoju”.



BOGUSŁAW SOCHNACKI

Są wśród nich tacy, którzy pierwszym już, wstępnym bojem podbijają publiczność i krytykę. Bywają i tacy, którzy na uznanie i popularność pracują całymi latami. Bogusław Sochnacki — nasz kandydat do tytułu „Łodzianina — 72” należy do tej drugiej kategorii aktorów.

Pracuje w naszym mieście lat już kilkanaście. Tutaj skończył Państwową Wyższą Szkołę Aktorską, aby następnie z grupą kolegów wyjechać do Rzeszowa. Ten mały, prowincjonalny teatr, niezbyt wtedy wysoko notowany w Polsce, zatrzymał możliwościami, których nie ma w wielkim mieście; mógł wtedy grać wiele, grać duże role, mógł uzupełniać swą wiedzę i umiejętności, których pozostatków otrzymał w szkole.

Wrócił do Łodzi. Po rocznym pobycie w Teatrze „7.15” przeniósł się (po odejściu Jerzego Antczaka) do Teatru im. Jaracza, a następnie do Teatru Nowego, któremu pozostał wierny do chwili obecnej. Przez te wszystkie lata nieustępliwie, nieefektywnie z pozoru, pracował na swą dzisiejszą pozycję. Złożyły się na nią: wiele ról w spektaklach telewizyjnych, w filmach, wiele wybitnych interpretacji radiowych i przede wszystkim — kreacje teatralne.

W sztuce aktorskiej Bogusława Sochnackiego nie ma powierzchownej błyskotliwości, nie ma fajerwerków technicznych i grania „pod publiczność”. Nie zależy mu na łatwym sukcesie. Sochnacki wypracowuje żmudnie i cierpliwie swoje role. Są one głęboko przemyślane, wystudiowane w długiej pracy przygotowawczej, autentyczne psychologicznie, ważne i prawdziwe. Wyczuwa to i wie łódzka i nie tylko łódzka publiczność. Zbyt często spotykamy się z łatwą efektywnością, abyśmy tym bardziej nie cenili rzetelnej pracy.

Aktorstwo Bogusława Sochnackiego zasługuje na wysoki szacunek jeszcze z jednego powodu. Mimo, iż został on zaszukany jako wykonawca „czarnych charakterów”, powierza mu się i odmienne, prowadzące role. Dzieje się tak dlatego, że aktor grając rolę, od której zależy los spektaklu, swą autentycznością, pasją i wiarą potrafi zmusić do tego samego wysokiego tonu gry i swych scenicznych partnerów.

Rok 1972 był dla Sochnackiego dobrym rokiem — zbierał w nim procenty, które narosły w wyniku wielu lat pracy. Wiele wybitnych ról i ta, przy okazji której uzyskał nagrodę za całokształt pracy i Srebrny Pierścień — kreacja tytułowa w „Judaszu” Rostworowskiego.



Po raz piąty już, tradycyjnie w świątecznym numerze „Odgłosów” ogłaszamy konkurs-plebiscyt p.n. „Lodzianie Roku”. Jak zwykle prezentujemy dziesięć sylwetek kandydatów pretendujących do zaszczytnego tytułu „Lodzianina 1972”. Są to przedstawiciele różnych zawodów i różnych środowisk. Łączy ich wszystkich zaangażowanie i praca na rzecz Łodzi.

Przypomnijmy dotychczasowych laureatów naszego plebiscytu. Tytuł „Lodzianina Roku” zdobyli: Irena Chojnacka — ekspedientka, Henryk Debich — muzyk, dyrektor Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi, Stefan Just — malarz, Roman Kaczmarek — dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego, Wacław Kondek — malarz, Krystyna Kondratiuk — dyrektor Muzeum Historii Włókiennictwa, dr Halina Krysińska, dr Bronisław Leszczyński, Andrzej Makowiecki — dziennikarz, Izabela Nagórka — bibliotekarka, Maria Ryl — pedagog i współtwórca „Arlekiina”, Władysław Rymkiewicz — literat, doc. dr Anna Rynkowska, Teresa Wojtaszek-Kubiak — solistka Teatru Wielkiego w Łodzi.

Na załączonym kuponie plebiscytowym prosimy zakreślić trzy nazwiska kandydatów, na których pada wybór Czytelników. O zdobyciu przez kandydatów tytułu „Lodzianina 1972” zdecydować będzie głosy.

Zwycięzcy otrzymują od nas pamiątkowe metalowe talerze z herbem Łodzi i wezmą udział w spotkaniu z Czytelnikami podczas uroczystego ogłoszenia wyników konkursu. Na głoszących czekają nagrody. Będą to: nagroda pierwsza — radioodbiornik tranzystorowy, nagroda druga — aparat fotograficzny, nagroda trzecia — zegarek na rękę.

Nagrody rozlosujemy pośród tych Czytelników, którzy w terminie do dnia 1 lutego 1973 roku nadesłali wypełnione kupony plebiscytowe na adres: redakcja „Odgłosów”, Łódź, ul. Piotrkowska 96, (Listy z uzasadnieniem wyboru bardzo mile widziane, chętnie będziemy je publikować). Wyniki naszego konkursu ogłosimy do dnia 1 marca 1973 roku.

Nazwisko Stefani Skwarczyńskiej jest trwale zrośnięte z Uniwersytetem Łódzkim, gdzie od początku kieruje katedrą teorii literatury, która uległa następnie rozszerzeniu o zagadnienia teatru oraz filmu. Ale związki pani profesor z naszym miastem sięgają jeszcze lat międzywojennych, gdyż Stefania Skwarczyńska przybyła do Łodzi w r. 1932, łącząc działalność pedagogiczną w gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej z pracą naukową na Uniwersytecie Lwowskim oraz w łódzkim oddziale Wolnej Wszechnicy Polskiej. W roku 1939, na krótko przed wybuchem wojny, zamianowano ją profesorem.

Od chwili swego przyjazdu do Łodzi zaangażowała się całym sercem w organizację życia kulturalnego. Z jej inicjatywy powstało w naszym mieście Koło Polonistów prowadzące bogatą działalność odczytową. Szczególnym powodzeniem cieszyły się zwłaszcza cykle prelekcji dla maturzystów, w których ukazywano literaturę polską na tle literatury światowej. Z inicjatywy prof. dr Stefani Skwarczyńskiej powstał też w Łodzi ukazujący się do dziś periodyk pt. „Prace Polonistyczne”, którego pierwsze trzy tomy wydano jeszcze w okresie międzywojennym.

W r. 1932 ogłosiła swoje „Szkice z zakresu teorii literatury”, a w ślad za nimi, kontynuując badania nad teorią rodzajów i gatunków literackich opublikowała „Teorię listu”.

Po wojnie w dalszym ciągu interesuje się przede wszystkim ogólną problematyką badań literackich, czego wyrazem była „Systematyka głównych kierunków w badaniach literackich”. W latach 1954-65 ogłosiła swoje fundamen-

talne, wielotomowe dzieło p.n. „Wstęp do nauki o literaturze”. Opracowała także dwutomową antologię p.n. „Teoria badań literackich za granicą”, a jest to tylko cząstka jej bogatych zainteresowań, bo trzeba by także wspomnieć prace z dziedziny teatru, wreszcie zainteresowania historyczno-literackie prof. dr Stefani Skwarczyńskiej obejmujące twórczość Adama Mickiewicza, Juliana Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego.

Jako wychowawczyni wielu pokoleń polonistów cieszy się profesor Skwarczyńska zasłużonym uznaniem zarówno w środowisku naukowym, jak też u studentów. I nie będzie chyba przesady, gdy stwierdzimy, że w czterdziestą rocznicę swego przybycia do Łodzi, w pełni zasłużyła na to, aby zwać się Łodzianinem Roku 1972.

Zdarzyło się raz, że wycieczka amerykańskich historyków sztuki, udających się do Moskwy, poprosiła o zatrzymanie samolotu w Warszawie i wynajętą taksówką przyjechała do Łodzi, aby obejrzeć zbiory łódzkiego Muzeum Sztuki. Popularność tę i światowy rozgłos Muzeum zawdzięcza nie tylko oryginalnym i niezwykle cennym zbiorom, ale również — a może przede wszystkim — zespołowi pracowników, którzy potrafią nawiązywać międzynarodowe kontakty, organizować wystawy i popularyzować polską sztukę współczesną na całym niemal świecie. Na czele tego zespołu od sześciu lat stoi Ryszard Stanisławski.

Historię sztuki studiował na Uniwersytecie Paryskim, w Ecole du Louvre i na Uniwersytecie Warszawskim. Lata po studiach poświęcił pracom teoretycznym, był wówczas zastępcą naczelnego redaktora „Przeglądu Artystycznego”, a następnie zastępcą dyrektora Centralnego Zarządu Sztuk Plastycznych i Wystaw w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Od 1957 roku poświęcił się samodzielnej pracy naukowej i popularyzatorskiej. Ryszard Stanisławski jest autorem wielu artykułów krytycznych i monografii poświęconych problematyce współczesnej sztuki polskiej i obcej, a swoje zainteresowania krytyczne i naukowe skoncentrował głównie na sztuce XX wieku.

Zorganizował więcej niż pięćdziesiąt wystaw polskiej sztuki współczesnej poza granicami kraju. Napisał i opracował katalogi do tych wystaw, mając ciągle na uwadze ideę popularyzacji polskiej sztuki za granicą. Uczestniczył w międzynarodowych jury wystaw w Warszawie, Krakowie, Wenecji, San Marino, Lozannie, New Delhi i Sao Paulo. Ale najwięcej troski i uwagi poświęca

wystawom organizowanym w Łodzi. Jego największym marzeniem jest budowa nowoczesnego, pięknego muzeum sztuki współczesnej w Łodzi. Uważa bowiem, że takie muzeum pozwoli nie tylko pokazać bezcenne zbiory, jakie kryją się w piwnicach przy ul. Więckowskiego, ale rozświecić też Łódź i polską sztukę na całym świecie. Ryszard Stanisławski urodził się w Sompólnie, ale uczuciowo czuje się związany z Łodzią, dla której poświęca całą swoją wiedzę i doświadczenie. Nie ustaje w organizowaniu wystaw, nawiązywaniu kontaktów z artystami innych krajów, aby nie tylko ich prace pokazywać w Łodzi, ale, aby również dzięki temu organizować zagraniczne wystawy polskich twórców.

Nie ulega wątpliwości, że prof. Jerzy Werner należy do najznakomitszych łodzian i to nie tylko roku 1972. Wieloletni dziekan i rektor Politechniki Łódzkiej, obecnie dyrektor Instytutu Pojazdów, przybył do Łodzi w styczniu 1945 roku wraz z Grupą Operacyjną, która miała za zadanie zorganizować społeczne i przemysłowe życie wyzwolonego miasta. Jego zastugą jest uruchomienie wówczas kolunmy transportowej, która dowoziła do Łodzi zaopatrzenie.

W 1946 roku Jerzy Werner przechodzi do pracy naukowej na Politechnice Łódzkiej, a równocześnie powołany zostaje do Biura Konstruktoryjnego Przemysłu Motoryzacyjnego, którą to placówką przez wiele lat kieruje. Rezultatem pracy naukowej jest dziewięć ksiąg, około 60 publikacji, 30 opracowań konstrukcyjnych z dziedziny samochodów, dwa patenty i szereg innych prac badawczych w zakresie napędów hydraulicznych i hydromechanicznych. Z kolei, jako konstruktor, jest ojcem wielodzietnej rodziny polskich samochodów „Star” (ciężarowy, ciągnik siodłowy, wywrotka, autobus oraz 5-tonowy samochód typu „Star 66” z napędem na wszystkie koła). Jako pracownik dydaktyczny wychował dużą grupę konstruktorów motoryzacji. Politechnikę Łódzką opuściło ponad 400 dyplomantów tej właśnie specjalizacji, w tym trzech docentów i sześciu doktorów. Prof. J. Werner był ich promotorem i opiekunem. Kadra ta zasila dziś i kieruje przemysłem motoryzacyjnym naszego kraju. Ma prof. Jerzy Werner swoje zasługi na polu działalności społecznej, przez dwie kadencje był posłem na Sejm.

Przez wiele lat piastował urząd

Młody robotnik, absolwent Zasadniczej Szkoły Samochodowej, od 1968 roku pracuje na jednym z najtrudniejszych odcinków naszej gospodarki. Zaczął jako elektromechanik samochodowy w Łódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Uprzemysłowionego nr 2. Zająć to nie dawało mu jednak pełnego zadowolenia, gdyż pracując w budownictwie nie przyczyniał się bezpośrednio do powstawania nowych domów, tak w Łodzi potrzebnych. Zaczął więc uczyć się dalej. Ukończył kurs dla operatorów sprzętu ciężkiego, a następnie kurs dla spawaczy i, przeszedł najpierw do Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego, a później bezpośrednio na budowę Łódzkiego Kombinatu Budowy Domów na Teofilowie. Jest tu teraz spawaczem na oddziale zbrojowni i przygotowuje uzbrojenia dla elementów prefabrykowanych, z których montuje się domy w przyszłej wielkiej dzielnicy mieszkaniowej na Retkini.

Ta częsta zmiana zawodów dała mu sporo doświadczenia, dużą wiedzę zawodową i poczucie odpowiedzialności, wynikające ze współczesności w rozbudowie i modernizacji Łodzi. Jest w jego postawie coś z niespokojnego ducha, z człowieka, który długo szuka swego miejsca, aby stać się potrzebnym wśród wielkiej armii ludzi budujących nową Łódź. Jest w tej postawie również trochę przekory i wiele zdrowej ambicji — tak nam dziś potrzebnej. Zdobyte doświadczenie i wiedza pozwalają mu na wykazywanie wielu potrzebnych inicjatyw, które przyczyniają się do coraz lepszych wyników osiągniętych przez budownictwo.

Zdzisław Wyrzykowski jest jednym z inicjatorów i aktywnych działaczy młodzieżowego patronatu nad budownictwem, które stanowi odpowiedź młodego pokole-

Taki już jest los architekta, że projektowane przez niego domy, zespoły urbanistyczne, zaczynają być własnym życiem, często stają się symbolem — o twórcy natomiast wie mało kto. Wszyscy znany popularną „Prząśniczkę” w Arturówku, zespół bloków na Kuraku z „Kapeluszem pana Anatola”, wieżowiec Cetebe, wieżowce przy Głównej... Któż jednak wie, że ich współtwórcą (częściowo z inż. W. Baldem) jest właśnie mgr inż. Aleksander Zwierko?

Przyjechał do Łodzi w roku 1955 już ze sporym dorobkiem. Projektował przedtem zakłady przemysłowe i bloki mieszkalne w Bolesławcu, Wrocławiu, Janowicach Śląskich, Miłkowie... Kiedy zobaczył Łódź, uznał, że jest to miasto wyjątkowo interesujące dla architekta. Dodajmy od siebie — dla ambitnego architekta.

Dziś mgr inż. arch. Aleksander Zwierko z dziewiętego piętra „Unibudu” kieruje tzw. pierwszym etapem realizacji Centrum. Na drzwiach jego pracowni widnieje tabliczka: „Generalny Projektant Głównej III — Pierwszego Rejonu Traugutta”. Skupił w swoim zespole najlepszych specjalistów wszystkich dziedzin — tu właśnie stworzono organizacyjne systemy wznoszenia budynków wysokich. Za który to system Naczelna Organizacja Techniczna przyznała nagrodę.

Realizacja Centrum jest przedsięwzięciem ogromnym — trudno sobie nawet wyobrazić ogrom i złożoność tych zadań. Suche cyfry nie powiedzą, ale kryje się za nimi ogromna praca.

Nie więc dziwnego, że Generalny Projektant zrezygnował z udziału w konkursach, choć ma w tym względzie piękne osiągnięcia. Wygrał konkurs na wieżowiec



STEFANIA SKWARCZYŃSKA



RYSZARD STANISŁAWSKI



JERZY WERNER



ZDZISŁAW WYRZYKOWSKI



ALEKSANDER ZWIERKO

talne, wielotomowe dzieło p.n. „Wstęp do nauki o literaturze”. Opracowała także dwutomową antologię p.n. „Teoria badań literackich za granicą”, a jest to tylko cząstka jej bogatych zainteresowań, bo trzeba by także wspomnieć prace z dziedziny teatru, wreszcie zainteresowania historyczno-literackie prof. dr Stefani Skwarczyńskiej obejmujące twórczość Adama Mickiewicza, Juliana Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego.

Jako wychowawczyni wielu pokoleń polonistów cieszy się profesor Skwarczyńska zasłużonym uznaniem zarówno w środowisku naukowym, jak też u studentów. I nie będzie chyba przesady, gdy stwierdzimy, że w czterdziestą rocznicę swego przybycia do Łodzi, w pełni zasłużyła na to, aby zwać się Łodzianinem Roku 1972.

wystawom organizowanym w Łodzi. Jego największym marzeniem jest budowa nowoczesnego, pięknego muzeum sztuki współczesnej w Łodzi. Uważa bowiem, że takie muzeum pozwoli nie tylko pokazać bezcenne zbiory, jakie kryją się w piwnicach przy ul. Więckowskiego, ale rozświecić też Łódź i polską sztukę na całym świecie. Ryszard Stanisławski urodził się w Sompólnie, ale uczuciowo czuje się związany z Łodzią, dla której poświęca całą swoją wiedzę i doświadczenie. Nie ustaje w organizowaniu wystaw, nawiązywaniu kontaktów z artystami innych krajów, aby nie tylko ich prace pokazywać w Łodzi, ale, aby również dzięki temu organizować zagraniczne wystawy polskich twórców.

Wspaniały jest dorobek naukowy, zawodowy i społeczny tego łodzianina nie z urodzenia, lecz ze świadomego wyboru. Prof. Jerzy Werner należy do postaci, które są chlubą i dumą miasta.

prezesa Zarządu TWP, był przewodniczącym Rady Naukowej do spraw komunikacji m. Łodzi. Do tej pory jest przewodniczącym i członkiem Rady Naukowej Wojskowego Instytutu Techniki Samochodowej, członkiem Rady Doradczej przy Ministrze Komunikacji, członkiem Komitetu Ekspertów przy Prezisie Rady Ministrów. Za wyniki prac naukowych i dydaktycznych, za wkład pracy w podnoszenie wyników nauczania oraz za organizację procesu nauczania i kształcenia młodej kadry był sześciokrotnie nagradzany przez Ministra Szkolnictwa Wyższego.

Wspaniały jest dorobek naukowy, zawodowy i społeczny tego łodzianina nie z urodzenia, lecz ze świadomego wyboru. Prof. Jerzy Werner należy do postaci, które są chlubą i dumą miasta.

nia na apel Partii. Jest też inicjatorem wielu czynów społecznych, podejmowanych przez zetemowską młodzież. Jego praca zawodowa, społeczna i polityczna w ZMS stanowi przykład dla innych młodych ludzi.

Zdzisław Wyrzykowski zdaje sobie sprawę, że na takich jak on, spoczywa wielka odpowiedzialność w okresie, kiedy Partia stawia przed całym młodym pokoleniem wielkie zadanie współczesniczenia w budowie drugiej Polski, że wraz z innymi buduje ją dla siebie i dla przyszłych pokoleń. To zadanie rozumie bardzo prosto: trzeba tylko dobrze i rzetelnie pracować — mówi. — Nie można przecież zmarznąć szansy, jaką mamy obecnie, szansy, aby nam wszystkim lepiej się żyło i pracowało.

Cetebe, otrzymywał nagrody za koncepcje centrum Krakowa, Częstochowy i wreszcie Łodzi... Pierwsza nagroda w konkursie na centrum Łodzi przykuła go na lata do tego problemu urbanistycznego, już w charakterze szefa zespołu specjalistów, którzy zmieniają oblicze miasta.

Inżynier architekt Aleksander Zwierko spogląda z dziewiętego piętra „Unibudu” i mówi: „Trzy wieżowce biur projektowych — 230 milionów, pawilon handlowo-usługowy — 250 milionów, prototypowe budynki mieszkalne po drugiej stronie Głównej — 470 milionów...” W dole widać rozpadające się stare kamieniczki nieopodal sąsiednich wieżowców. Za kilka lat te miliony rozpisane dziś na projektach, zmaterializują się w beton i aluminium.





Z ławy trzynastu podsądnych podniósł się chłopak średniego wzrostu, szczupły, nędznie ubrany, o twarzy lekko nabrzmiałej. Czoło miał czoszone potem, mimo chłoda panującego w sali, na twarzy i szyi wystąpiły mu czerwone plamy. „Boł się” — pomyślałam. Ale już w następnej chwili zmieniłam zdanie. Wystarczyło spojrzeć mu w oczy: zbuntowany. Dopiero to określenie było właściwe.

Proces trwał kilka dni. Banda Czarnego Franka liczyła trzynastu chłopaków w wieku 17—18 lat. Tym trzynastym miał być „on” właśnie. Widac jednak było wyraźnie, że do nich nie należy. Podczas przerw w rozprawie trzymał się z daleka, z żadnym z tamtych nie rozmawiał, chociaż go zagadywali. Zostali zasądzeni na trzy lata za udowodnione im w czasie procesu włamania i chuligańskie wybruki. Jemu zaliczono areszt i wypuszczone na wolność. W czasie procesu tamtym rodzinny czy koleżki podawali papierosy i paczki z jedzeniem. Do niego nikt nie przyszedł. Któregoś więc dnia ja wręczyłam mu papierosy i parę kanapek. Podczas rozprawy zauważyłam, że interesowała go moja obecność przy stole adwokackim, toteż nie zdziwiłam się, gdy zapytał:

Kto pani jest? Z gazety?

Moja odpowiedź zaskoczyła go. — Literatka? — zdumiał się.

Po kilku dniach zatelefonował do mnie:

— Czy ja mógłbym do pani przyjść?

Ucieszyłam się i dałam temu wyraz, zapraszając go do siebie. Przyszedł punktualnie, o wyznaczonej godzinie. Zapytałam o wyrok: czy jest z niego zadowolony?

— Nie — odpowiedział ostro.

Zdumiałam. — Ależ dlaczego? Co ty mówisz?

— No, przecież pani słyszała uzasadnienie wyroku, odczytane przez przewodniczącego sądu. Potraktował mnie, jak smarkacza. Ja już byłem dorosły mając piętnaście lat. Takie życie jak moje przyspiesza dojrzewanie. Zaskoczona, przytrzymałam w jego niespokojne, znowu zbuntowane oczy.

— A jeszcze z tym „ojcowskim” podejściem — mówił dalej wzburzonym głosem — słyszała pani przecież. Do mnie akurat pasuje — roześmiał się. I tu znaleźliśmy się już o krok od jego spraw rodzinnych. W tym momencie moje pytanie: — A jak właściwie jest z twoimi rodzicami? Żyją, czy nie? — nie powinno było wydać się niedelikatne.

— Są, żyją. Tylko każde osobno. A ze mną żadne. Tak było od początku i tak jest do dziś.

— Jak to „od początku”?

— Bo wnet po moim urodzeniu — rozeszli się. A mnie żadne wzięć nie chciało. W drodze im byłem. Jeszcze ojcu — to do zrozumienia, ale matce? Tyle wiem, co od babki, matki ojca. Mieszkała z drugim synem, jeszcze nie żonatym. Wzięła mnie, i póki ten drugi syn się nie ożenił, jakoś tam szło. Ale się ożenił. Po niedługim czasie wyrzuciła mnie z domu razem z babką tą synową. Nie chciała patrzeć na cudzego bachora. Wujek bał się jej przeciwstawić, ale widać rozumiał, że na ulicę matki wyrzucić nie może, wyprzedził komórkę pod schodami, ogacił ją, żeby było ciepło, wstawił piecyk z rurą, stół, ławkę i jedno łóżko żelazne... no, i mieszkaliśmy tam z babką dziesięć lat.

— A z czegoście żyli?

— Z prania. Babka wynajmowała się do różnych ludzi.

— A dziadek?

— Dziadek przepadł gdzieś w świecie. Słuchu o nim nie było. Jakoś tam sobie radziliśmy sami. Latem — pół biedy. Zimą bywało gorzej: wilgocią ciągnęło od dołu, o czwartej po południu ciemno się robiło jak w grobie. Elektryczności nie mieliśmy. Naftowa lampa kuchenna niewiele dawała światła, a ja musiałem przecież odrabiać lekcje... A czytać lubiłem od małości.

— I żadne z rodziców nie interesowało się tobą?

— Żadne. Matka miała już drugą rodzinę, męża, dzieci, a ojciec rozpił się i żył co rusz z inną kobietą. Pamiętam: czyściła mi ubranie, zakładała biały kołnierzyk i szlisy. Najpierw do kościola, a potem do mieszkania matki. O różnych porach dnia. Widocznie, żeby zaskoczyć. Zrozumiałem to dopiero znacznie później. Ale nie wpuszczano nas do mieszkania. Zatrząskiwano nam drzwi przed nosem. Czasem, gdy udawało się babce wstąpić do sieni — obrzucano ją wyświekami i wypychano za drzwi. Wracałam w milczeniu. Nie było nic do wyjaśniania. Ale też znikąd — nadziei. Potem, gdy byłem starszy, zaprzestaliśmy tych prób.

— A z ojcem... nie próbowaliście?

— Do ojca: babka chodziła sama. Nigdy mi nie mówiła, że idzie. Ale ja naprzód wiedziałem, bo od rana wszystko leciało jej z rąk. Siedziałem wtedy cicho, schodziłem z drogi, żeby nie przysporzyć zmartwienia. A gdy już wyszła — plakałem. Wracała zawsze zmieniona na twarzy, z zacziśniętymi ustami. Zdejmowała lepsze odzienie i w milczeniu brała się do zwykłej roboty. O nic nigdy nie

pytałem. Aż jednego razu wróciła posiniączona. Odtąd chodziłem za nią. Nigdy się nie spostrzegła. W ten sposób dowiedziałem się, gdzie ojciec mieszka. Na parterze mieszkał. W ołtynie. Wiele łatwo mogłem sprawdzić. Nie raz stała długo pod drzwiami i nadsłuchiwała. Zrozumiałem to, gdy któregoś dnia usłyszałem pijackie wżaski, dochodzące z głębi mieszkania. Wtedy zawracała i chwile stała w bramie, zanim wyszła na ulicę. Plakała w ciemnym kącie bramy, żeby nikt nie widział. W tych chwilach najbardziej żem ją kochał. Ale gdy podrosłem, nie pozwoliłem jej chodzić do ojca. „Masz rację — powiedziała raz — nie się nie odmiem”. Dostaliśmy już wtedy mieszkanie: na Zielonej. Pokój sam w sobie. Jasny. Z elektrycznością. Zapomnieliśmy o ojcu. Ale kiedy skończyłem podstawówkę, poszła jeszcze raz do niego. Może się chciała tym pochwalić! A może poradzić, co ma być dalej z mną? Sama przecież ledwie czytać i pisać umiała. Wróciła tak zbita, jak jeszcze nigdy. Nie wiedziałem, że idzie. Potrafiłbym ją już wtedy obronić. Nie stałbym bezczynnie pod drzwiami. Ale nie wiedziałem. A miałem te głupie trzynaście lat. Czerwiec był tamtego roku gorący, ganiałem z chłopakami, gdzie mi tam była babka w głowie! Ale musiał jej coś wtedy przetrząść, bo od tego czasu skarżyła się na ból w boku, który jej w praniu przeszkadzał. Poszedłem do szkoły zasadniczej. Nie interesowało mnie żadne rzemiosło, ale przed jej mogłem zarabiać. Widziałem przecież, że babka jest coraz słabsza i długo już z tym praniem nie pociągnie...

To było trudne opowiadanie. Może to wcale nie było opowiadanie? Strzępy zdań, nie zawsze właściwe zastosowanie słów, określeń... Mimo to widziałam to mieszkanie, do którego pewnego dnia, kiedy już miał siedemnaście lat, wszedł nie wiedząc dobrze po co. Ciemna izba na parterze, w starym, drewnianym domu na ulicy Rzgowskiej. Nikt jej widać od dawna nie sprzątał; gniazdo kurzu, pustych butelek, pudełek po konserwach, strzępy gazet, brudne skarpetki, jakieś żelastwo...

— Co się tak patrzysz? Kawalerskie gospodarstwo ci się nie podoba?

Ale nie od tego się zaczęło. Najpierw to stanie pod drzwiami, zanim wszedł. Dopiero po dłuższej chwili takiego stania uświadomił sobie, że robi to samo, co dawniej babka: wystawała przeciw długie minuty, zanim wyszła lub odeszła. Za drzwiami ktoś rozmawiał. Słychać było wyraźnie raz kobiecy głos, a raz męski. Rozważał jeszcze chwile: wejść, nie wejść? Bo jeżeli ojciec nie jest sam? A może właśnie lepiej ze świadkiem? Nie wiedział. Ale wszedł na było nie było. W izbie dojrzał ich troje: dwóch mężczyzn w średnim wieku i młoda dziewczyna. Jeden z tych dwóch musiał być jego ojcem. Nie pamiętał go już, mimo to rozpoznał. Wszyscy troje siedzieli przy stole i pili wódkę. Pachniało alkoholem i rozgrzanym ciałem kobiecym. Zapach dotychczas chłopcu nie znany i odrażający. Zatrzymał się na progu — niezdeterminowany. Zahamowało go spojrzenie dziewczyny: zaczepne i kpiarskie.

Ojciec musiał go od razu poznać, albo po prostu domyślił się kim jest, widząc zmieszanie chłopca i bijącą w oczy niepewność. A że był już dobrze pod gazem, więc go widok syna rozśmieszył.

— Patrzcie no ludzie, kto to do nas przyszedł!

— Co to za szczeniak? — przerwała mu dziewczyna.

— Pomyliłaś się, królowno, bo to mój syn, syneczek jedyny, słubnie zrodzony. Kto cię tu przysłał, aniele? I po co? I po co? Nie marszcz się. Rozumiem — sam przyszedł. Tatusia zobaczył. Bardzo mi przyjemnie.

— Mógłbyś go zaprosić, żeby siadł, a nie tak przy drzwiach syna trzymać — powiedziała dziewczyna.

— A czy ja go trzymam? Proszę uprzejmie, synusiu, wejdź, i siadaj tu z nami przy stole. Poznam cię z moim towarzystwem, co jest dobre do biki i do wypitki. Po staropolsku mówię, rozumiesz? Siadaj. No, siadaj, mówię!

— Siadłem. Wtedy ojciec przyniósł jeszcze jeden kieliszek i wszystkim nalewał wódkę. Gadał przy tym bez przerwy, zachęcał do picia i podsuwał przekąski. Ten drugi mężczyzna wyglądał miał wredny. Musiał być z niego dobry łobuz. Tyle, że wiekiem starszy. Ta dziewczyna do nich obu nie pasowała, i nawet żem się zdziwił, małe pojęcie mając, jak w życiu z takimi sprawami jest.

Miał te swoje siedemnaście lat, a chociaż przez los do niejednego zaprawiony, nie dość był biegły w rozeznawaniu lajdactw ludzkich. Gdyby tej dziewczyny tam wtedy nie było, może nie piłby wódkę i nie jadł tej zagrychy, ale jadł i pił, nie chcąc okazać, że pierwszy raz... Mimo to z lękiem patrzył, jak ojciec wymiata z kredensu nową butelkę. Nie tyle przez wzgląd na siebie, ile na niego, na ojca. Bo przypomniał sobie słowa babki: „Głowe — to on ma mocną, może pić i nie mu. Ale jeden kieliszek za dużo i basta”. Nigdy nie wiedział, co oznaczało to słowo. Stało się ono jednak z czasem równoznaczne z przekroczeniem jakichś granic. Ale jakich? Też nie wiedział. Dopiero teraz miał się dowiedzieć, i poczuł lek.

— Czysta wyborowa, syneczku, państwową.!

Nie podniósł wtedy kieliszka, nie wypił toastu „pod gacie”, mimo że dziewczyna nie spuszczała z niego wzroku i że trzymała już napelniony kieliszek przy ustach, wyraźnie na niego czekając.

Ojciec zmarszczył brwi. „Dlaczego nie pijesz?” — Nie wprawny jeszcze. Daj mu spokój — wtrącił się nagle ten starszy gość — widzisz przecie, że to dzieciak — podniósł kieliszek do ust, mrugnął na dziewczynę i wychylił jego zawartość ruchem tak wprawnym, jakby niczego innego w życiu nie robił. Ale ojciec Józka uparł się.

— Pijesz, czy nie? — pytał teraz już groźnym tonem.

— Nie — odpowiedział chłopak.

— A w mordę chcesz?, co? Chcesz w mordę?

— Widziałem, że nie jest jeszcze tak pijany, żeby nie wiedział, co mówi. Oczy błyszczały mu jakąś złośliwą uciechą. A ze mną działo się coś niedobrego: szum w uszach, serce podeszło do gardła, krew uderzyła do głowy. Pierwszy raz piłem alkohol. No, to tak mi było, jakby mnie kto bałem podciął. Gotów się poczułem do bójki. „Niech mnie tylko tknie” — mówiłem sobie. Ojciec powoli wstawał z krzesła. Instynktownie rozejrzałem się po izbie. Chyba badałem teren naddciągającej awantury. Ale on inaczej zrozumiał ten mój odruch: „Co się tak patrzysz? Kawalerskie gospodarstwo ci się nie podoba?” Nie wiedziałem, co robić: odpowiadać mu, czy nie, wstać, czy dalej siedzieć? Rozumiałem, że najlepiej byłoby od razu wyjść, ale na to nie pozwalała mi ambicja. Byłoby to przecie jednoznaczne z ucieczką. A ojciec dalej gadał. „W babkę się wdałeś. Ile razy przyszła, to jedną i tę samą gadkę odstawiała, że w chwile mieszkam. A jakie prawo miała do mnie się wtrącać? Żadnego. Ze mojego bachora chowała? A prosiłem ją o to?”

Wtedy ta dziewczyna powiedziała: „Zamknij się, capie” i nie czekając dłużej, sama wypila ten trzeci kieliszek wódki. Ale ojciec już z typowo pijackim uporem wrócił do poprzedniego: — Pijesz, czy nie? — pytał groźnie. — „Nie” — odpowiedziałem i wtedy mnie uderzył. Ale ja go już miałem dość. Jużem go przejrzał, co jest wart. Jużem babec w myśli przyznał rację, że mnie przed nim strzeżę, gdy zacząłem dorastać. Jużem wiedział na pewno, że ta „wizja lokalna” była mi potrzebna, jak kulawemu kij. Potrzebne to było, żeby go wyrwać z mego życia na zawsze i ostatecznie — tego mojego ojca. Gdybym nie był pijany, trzasnąłbym może drzwiami i wyszedł, ale miałem pierwszy raz alkohol w krwi. Zerwałem się ze stołka, przechyliłem przez stół, chwyciłem go za koszulę l...

— I co dalej?

— Dałem mu w twarz raz, drugi, a chyba i więcej, bo mu głowa opadła, jakby jej szyi brakło... Byłbym więcej nie bił, ale on się po chwili zebrał i skończył na mnie, przewalając stół, a z nim i mnie samego. Zaczęliśmy się tarzać po ziemi, bo już każdy z nas wiedział, że się na mordobicu nie skończy.

— A tamci dwoje?

— Tamci? Usunęli się nam z drogi. Jaką szło wszystko koleją — nie pamiętałem potem, bo miałem mgłę w oczach. Dopiero jak ojciec zwiroteł, bo ja żem go rzucił na łóżko i przyduśił kolanami, ten stary łobuz wysunął się z izby. Musiały drzwi trzasnąć, albo co, bo usłyszałem, że ktoś wychodzi i zaraz się domyśliłem, że to on.

— Nie bronil ojca?

— Nie.

— Poszedł po milicję?

— Myślałem i ja to, ale tego nie zrobił.

— A dziewczyna?

— Do końca była.

— Do końca — mówisz — ale do jakiego końca?

— Dopóki mił. A bitem, dopóki się bronil. Pijany byłem; alem wiedział, kogo biję i za co. Byłem świadom tego, co robię. Dawałem upust temu żalowi do niego, co mnie gryzł od dzieciństwa. Myślałem, że się z niego wyzwolę. Czy go chciałem zabić? Myślę, że nie. Ale mogło się to przecie łatwo zdarzyć.

— Ale się nie zdarzyło?

— Ta dziewczyna podeszła i powiedziała: „Prześtań, już żeś odbił za swoje” i chlusiła mi wodę na łeb raz, drugi... Otrzeźwiałem. „A teraz idź w diabły” — powiedziała. I ja poszedłem.

— I na tym się skończyło?

— Skąd! Zaraz na drugi dzień przyszedł do mnie.

— Oskarżył cię?

— No! O usiłowanie zabójstwa.

— Bój się Boga! I jakie ty się z tego wykaraskał? Bo na rozprawie słyszałem, że nie był sądowo karany?

— Bo i nie byłem. Ta dziewczyna mnie uratowała. Zrazu nie mogłem zrozumieć, co zaszło. Bo już siedziałem parę dni, kiedy nagle mnie wypuścili. Zaskoczyło mnie to. Zacząłem się dopytywać. Powiedzieli, że ojciec skargę wycofał.

— A mówiłeś, że to dziewczyna...

— Zgadza się. Spotkałem raz na ulicy tego ojcowego kumpla. Udałem, że go nie poznaję, ale on mnie zatrzymał. I ze śmiechem powiada: „Aleś mu wpięprzył! Do dziś się liże.” Widać nie tak bardzo — odpowiedziałem — skoro już nazajutrz poszedł na milicję. A on na to: „Ale cię przecie wypuścili”. Pomyślałem wtedy — może się od niego czegoś dowiem i mówię, żem się mocno zdziwił, jak mi powiedział, że ojciec skargę wycofał. A ten jak nie zacznie rechotać! „Musiał, synku, musiał!” „Któż go do tego zmusił?” — pytam. A on: „Pamiętasz tę dziwkę, co z nami piła? To ona go wkurzyła”. — „Jakże to?” — pytam. „A bo znała dobrze jedną tam jego sprawkę. I zagroziła, że jak nie wycofa oskarżenia przeciw tobie, to ona jego oskarży. No, to zląkł się chłopina, bo dziewczyna z ikłą. Ani by się obejrzał, jakby go zamkli”. Aż mnie zatknęło ze zdumienia. „A dlaczego ona to zrobiła?” — zapytałem też o to, bo sam nie mogłem zrozumieć. A on znów w śmiech: „Mówiła, że sprawliłność była po twojej stronie. Taka już jest: nie lubi, jak kogo krzywdzą”. Strasznie jest trudno rozeznąć się w ludziach...

— I więcej go nie widziałeś? — zapytałam.

— A nie.

— I nic o nim nie wiesz?

— Tyle, że kiedy mnie teraz wsadzili, to przyszedł do babki. Skąd się dowiedział — pojęcia nie mam. Ale podobno przyszedł uczeszony. I powiedział: „No, stara, wychowałaś bandziora. Oplaciło ci się gacie prać”.

— Cóż za podlec! — wykrzyknęłam z oburzeniem.

— Tak! Był. Przebrał jednak miarę: babka akurat prasowała, bo jak mnie wsadzili, to znowu wzięła się za pranie. Musiał ją dotknąć w bolesne miejsce, bo rzuciła w niego żelazkiem. Wezby się nie zdążył uchylić, może by go i zabiła. Napisała mi to, bośmy się już więcej nie widzieli. Zmarła w czasie tych paru miesięcy mego więzienia. Chyba ze zmartwienia. Bo przecież nie wiedziała, jak mnie bronić przed ludźmi, co mnie, jak ojciec, mieli za bandziora...



# ANTYKWARIAT

## czyli Łódź ANNO 1884



Rok 1884 był pozornie zwykłym rokiem drugiej połowy XIX wieku. Dla Łodzi był to jednak rok szczególny — pierwszy rok pierwszej polskiej gazety codziennej. Historia polskiej prasy zaczyna się jednak w Łodzi wcześniej. Jeszcze w roku 1860 podjęto podobno próbę założenia pisma polskiego, które po ukazaniu się kilku numerów — upadło. Podaje tę wiadomość m. in. Zygmunt Goskowski w swojej cennej pracy o „Dzienniku Łódzkim”. Nieco później od kwietnia do czerwca 1881 roku ukazywał się odciłek polski w tygodniku „Lodzer Zeitung”, potem, w końcu 1883 roku polsko-niemieckie „Lodzer Anzeiger” — „Łódzkie Ogłoszenia”. Ale „Dziennik” wydawany od stycznia 1884 był pierwszą polską gazetą z prawdziwego zdarzenia.

Dlatego też ów pierwszy rok i pierwszą gazetę wybrałem na bohaterów książki pt. „Łódź — 1884” (może zresztą będzie się nazywała „Antykwariat”), z której materiały poniżej prezentuję.

JERZY WILMAŃSKI

### CZYTELNICTWO GAZET

Zamówienie do czytelnictwa rozwija się u nas coraz bardziej. Najlepszym świadectwem tego jest periodyczne znikanie pism w naszych cukierniach, szczególnie zaś cierpi pod wpływem tej lekturomanii p. Szyblewski. Nie ma prawie dnia, by jaki poczytniejszy organ nie utonął w kieszeni amatora cudzej własności, mimo ścisłego dozoru ze strony służby.

„DZIENNIK ŁÓDZKI” NR 19

Zamówienie do czytelnictwa — gorzka do ironia. Dokładnie w tym samym czasie kierownik pisma, Henryk Elzenberg, pisze do Elżby Orzeszkowej, że „Dziennik” odbija 1000 egzemplarzy. Wiadomość tę Orzeszkowa powtórzyła w liście do Iwana Franki. W dwa lata później było chyba nieco gorzej. Elzenberg, prosząc Orzeszkową o napisanie dla „Dziennika” powieści lub noweli, pisze: „Sya sławy może droga Pani i nam udzielić trochę, rozjedzie się to wprawdzie w 600 egzemplarzy, lecz czytana będzie przez 4 tysiące czytelników”.



Albo więc Elzenberg przesadzał w pierwszym liście, albo w drugim — dodając do małej wysokości nakładu informację o liczbie Czytelników. A może jest tak, jak pisze Zygmunt Goskowski w liście do Elzenberga: „Dziennik” jest pismem „rodzinnym” i jeden egzemplarz przypada na 6-7 osób. Ten sam badacz podaje ilość prenumeratorów innych łódzkich gazet. „Lodzer Zeitung” miał ich 2400, „Lodzer Tageblatt” — 1800. Nic więc dziwnego, że irytował się „Dziennik”, gdy ktoś kradł egzemplarz gazety, która mogła być czytana przez wielu kawiarnianych bywalców.

### CO Z PASOŻYTAMI?

W sferach rządowych powstał projekt zakładania domów robotniczych, w których pomieszczeni być mają żebracy zdrowi, trzy

razy przytrzymani na żebractwie.

„DZIENNIK ŁÓDZKI” NR 1

### W GASTRONOMII JAK ZWYKLE

W kwestyi grzeczności. Kilkakrotnie już dochodziły nas skargi na lekceważące, często nawet impertynenckie traktowanie publiczności przez właścicieli i służbę tutejszych restauracji i cukierni, które pragnąc uchodzić za pierwszorzędne, zapominają często o pierwszym warunku, nadającym prawo do tego tytułu — o grzeczności.

Wczoraj znów w jednej z najspaniałej urzędowej cukierni, na pryncypalnej ulicy, gość przybyły świeżo z Warszawy i przyzwyczajony do innego obchodzenia się z publicznością w tamtejszych zakładach jadalnych, doznał na słuszne „swe” żądanie tak impertynenckiej odpowiedzi, że doprawdy dziwić się należy, jak mogła ona wyjść od właściciela zakładu, który był swój o pierać musi wyłącznie na względach swoich kundmanów.

Być może, że wina ciąży tu w znacznej mierze na publiczności tutejszej, która — jak utrzymuje druga strona — nie zawsze odpowiednio zachowuje się w miejscach publicznych i pod tym względem znacznie odstępuje od obyczajów, zachowywanych w miastach prawdziwie ucywilizowanych; w każdym razie jednak większa uprzejmość ze strony utrzymujących zakłady publiczne wpłynęłaby może silniej na ogładzenie owych obyczajów, aniżeli lekceważenie i gburowatość względem gości.

„DZIENNIK ŁÓDZKI” NR 36

### KONNO PO PIOTRKOWSKIEJ

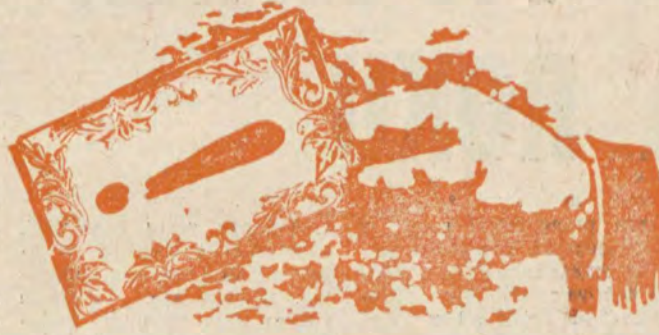
Niefortunny jeździec. W tych dniach przechodnie ulicy Piotrkowskiej byli świadkami komedycznej sceny. Jakiś jegomość używał przejażdżki na dzielnym koniu. Naraz rumak zląkłszy się wyładowanej furi, skoczył w bok, a niefortunny jeździec spadając, pozostawił w strzemiączkach... ogromne myśliwskie buty. Koń pomknął cwałem dalej, a jeździec w skarpetkach przebrnąwszy kałużę błota, wsiadł w dorożkę i prawdopodobnie bez wypadku już dojechał do domu.

„DZIENNIK ŁÓDZKI” nr 21

### NOWOŚĆ

Oświetlenie elektryczne zaczyna się już i w naszym mieście rozpowszechniać. Dotychczas zaprowadziły je dwie fabryki, a mianowicie Zakłady K. Scheiblera, gdzie część warsztatów korzysta już z tego wynalazku oraz przedziałnia wełny czesankowej pod firmą Laon Allart et Cie.

„DZIENNIK ŁÓDZKI” NR 35



### KONNE TRAMWAJE

Tramwaje w Łodzi. „Kurier Warszawski” donosi: — iż p. Władysław Kiślański, znany w Warszawie inżynier uzyskał koncesję na budowę tramwajów w Łodzi.

Zamiarem p. K. jest przeprowadzić całe przedsiębiorstwo miejscowymi siłami.

W tym celu ma być zawiązana spółka akcyjna z kapitałem 260—300 tys. rs.

Nie wątpimy, iż świetne interesa jakie robi towarzystwo tramwajów w Warszawie będą dla naszych kapitalistów zachęcającym przykładem.

Roboty mają być rozpoczęte zaraz po utworzeniu konsorcjum.

„DZIENNIK ŁÓDZKI” NR 4

Elektryzująca była ta wiadomość, jeśli można użyć tego zwrotu w epoce, kiedy elektryczność jeszcze się w Łodzi nie zadomowiła. Niestety, jeszcze długo czekali łodzianie na tramwaj. Od pierwszej informacji na ten temat minęło musiało całe 14 lat do chwili, kiedy ulicami Łodzi ruszył pierwszy tramwaj. Czekanie się jednak opłaciło, był to bowiem tramwaj elektryczny. Warszawa zrezygnowała z

„konnego napedu” swoich tramwajów dopiero w roku 1905. Też jej się zresztą opłaciło to opóźnienie, bowiem od razu zastosowano — w przeciwieństwie do Łodzi — szerokie tory. W ten sposób my dzierżymy palmę pierwszeństwa i mamy dziś kłopoty z taborem, jako bodaj jedynym w Polsce miasto o komunikacji tramwajowej z wąskim rozstawem torów.

wające na dobroć jej wyrobów; wprowadziła następujące gatunki papierosów:

- „Sobleski” — 1 kop. — 100 sztuk
- „Zabawa” — 1 kop. — 100 sztuk
- „Afrykanka” — 1 kop. — 100 sztuk
- „Kometa” — 1.60 kop. — 100 sztuk

★ ★ ★

Onegdaj pomiędzy godziną 8—10 wieczorem z zamkniętego sklepu przy ulicy Piotrkowskiej, będącego własnością S. Grünspana, poczęły się wydobywać gęste kłęby dymu, szercząc naokół woń nafty. Przybyli do ognia oddział tutejszej straży ogniowej, bezzwłocznie rozłamał zatarasowane wrota i, skierowawszy węzownicę sikawki do wnętrza sklepu wkrótce zdołał stłumić ogień. Właściciel sklepu podejrzewany o podpalenie, został wczoraj na miejscu aresztowany i odesłany do sądziego śledczego.

„DZIENNIK ŁÓDZKI” NR 33



### POLITYKA KADROWA

Pan Biernacki, naczelnik tutejszego urzędu pocztowego, przeniesiony został do Kalisza, gdzie taką samą obejmuje posadę, jego zaś miejsce zajmie dotychczasowy naczelnik poczty kaliskiej.

„DZIENNIK ŁÓDZKI” NR 22

### CO PALIMY?

Fabryka Tabacznia „Towarzystwo Union” dawniej Leopold Kronenberg zwraca uwagę Szanownej Publiczności, iż zaprowadziwszy pod jej nowym zarządkiem liczne ulepszenia wpły-

nownej Publiczności, iż zaprowadziwszy pod jej nowym zarządkiem liczne ulepszenia wpły-



## BECZKA W LESIE

Sąd Powiatowy w Łasku w całym swoim majęściu oczekiwał na oskarżenie Wiktorię Ambrozjak z Zytowic. Kobieta, przewidując, że victori! na sali sądowej raczej nie odniesie, postanowiła zająć się w tym czasie czymś praktyczniejszym. I słusznie przewidywała, ponieważ trzeźwa Temida nie cierpi takich, co pędzą bimber, a sędziwa Wiktorja Ambrozjak do nich się właśnie zaliczała.

Funkcjonariuszom milicji, którzy znaleźli u niej dość pokąźną ilość samogonu, wyjaśniła to w sposób następujący: „Ciężko choruję na serce i

reumatyzm i w związku z tymi chorobami zawsze smaruję się alkoholem. Dotychczas kupowałam go w sklepie, lecz ostatnio zabrakło mi pieniędzy, więc postanowiłam sama wyprodukować trochę „księżycówki”, aby mnie to taniej wyniosło. Zdażyłam, niestety, ugotować zaledwie 30 litrów, a już panowie przyjechali i wszystko poszło na marne. Nie dość, żeście mi całą aparaturę zniszczyli, to jeszcze na dodatek 800 litrów zacieru wylał do rowu. O laboga, co ja biedna i schorowana teraz pocznę!”

Przyzwyczajonym do wszelkich dziwności tego świata

funkcjonariuszom MO, babcia Wiktorja Ambrozjak nie przypominała jednak smoka, który chłepce hektolitrami bimber w celach zdrowotnych. Via Prokuratora przekazali jej sprawę do sądu. Sąd czeka i czeka, wreszcie się zdenerwował i wysłał do Zytowic sierżanta Mieczysława Tomczaka, aby babcie doprowadził na rozprawę. Sierżant Tomczak zaszedł do chatki babcia na skraj lasu, puka, otwiera drzwi i oczom nie wierzy: babcia w najlepsze pędzi bimber. Niepoprawna jak dziecko.

A propos dziecko, to wiadomo — jabłko pada niedaleko od jabłoni. Jej syn, Kazimierz Ambrozjak, pobit pod tym względem chyba rekord, upadł jak najbliższy. Zajmował się dystrybucją bimbru na bocznicę kolejowej w Pabianicach. Kiedy go zapytano o źródło, odrzekł:

„Poszedłem na targowisko, stanąłem sobie z boku i patrzyłem, czy na którym z wozów rolnicy nie sprzedają samogonu. Zauważyłem, jak błysnęło szkło w słońcu i coś zabulgotało. Pochodzę do rolnika i pytam, czy nie można u niego kupić butelki. Ja nie powiedziałem, co ma być w butelce, rolnik popatrzył na

mnie, przyjrzał mi się dokładnie i zapytał, ile chcę. Odpowiedziałem, że z pięć litrów. Ja lubię sobie wypić od czasu do czasu, a że w sklepach państwowych alkohol jest drogi, postanowiłem zapatrzeć się na święta w wódkę z nielegalnej produkcji. Nie da się ukryć, proszę wysockiego Sądu, że bimber jest tańszy”.

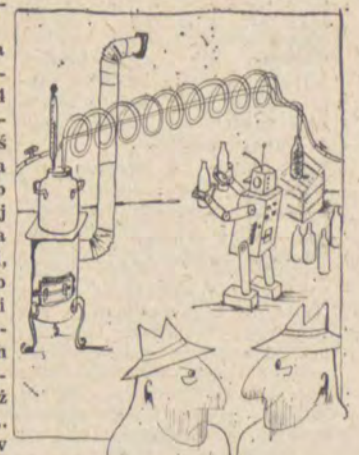
Tego samego zdania był widocznie również Włodzimierz Pika ze wsi Leszczyny Małe, u którego znaleziono 110 litrów czystego samogonu oraz 900 litrów zacieru. Kiedy nie spodziewaną wizytę złożyła mu milicja, Pika zaczął tłożyć bimber wylewać bańkami przez okno. Powiedział potem:

„Przyznaję, fakt, że zacier i samogon znajdowały się u mnie, ale nie przyznaję, że bym ostatnio produkował bimber. Owszem, przyniosłem trzy bańki samogonu z lasu, bo znalazłem. Ktoś wybrał w lesie, ale kto — tego nie wiem. W jakiej odległości to było od domu? Miejsce, w którym znalazłem bańki z bimbrzem, znajduje się około 200 metrów od moich zabudowań. Zdaję sobie sprawę, że produkcja musiała tam być od dłuższego czasu. Lecz kto się tym trudnił — nie wiem”.

Protokół oględzin tego miejsca brzmiał, jak poezja.

„8 lipca 1922 roku, godzina 10.25. Pogoda słoneczna, temperatura powietrza plus 24 stopnie C. Lekki wiatr z kierunku zachodniego. Przez wieś Leszczyny Małe biegnie droga gruntowa, która prowadzi do wsi Łężyce. Przy drodze tej pod nr 13 stoją zabudowania nie żyjącego Andrzeja Piki, gdzie dziś gospodarują jego dwaj synowie: Włodzimierz i Edward. Za południową bramą zabudowań gospodarczych rośnie las ek sosnowy, miodnik. Od strony północnej tegoż lasu jest wydeptana ścieżka. Po przejściu około 15 metrów w lasku odnaleziono kompletną aparaturę, służącą do wyrobu samogonu w postaci metalowej beczki, o pojemności 300 litrów, w której znajdowała się woda. Wewnątrz zanurzona była rura metalowa o średnicy 4 cm i siedem zwójów. Przy beczce ustawiono palenisko z płaskownikami i prętami metalowymi. Obok stały trzy duże beczki, o pojemności 200 litrów każda”.

Od 8 lipca br. godz. 10.25 Włodzimierz Pika przestał korzystać z pogodnych, słonecznych dni o temperaturze plus 24 stopni C. Niedawno Sąd Powiatowy w Łasku póź-



— Przerobiłem kumie, „Bizona” na robotka, żeby mi bimberem pędził...

Rys. K. Gruber

bawił go wolności na cztery lata i wymierzył dodatkowo 80.000 zł grzywny z zamianą na 533 dni więzienia. Sąd nie dał wiary, że to jakiś piękny niezajomy wybudował mu pod samym domem okazala, bądź co bądź, gorzelnię. Wyrok nie jest łagodny, lecz można powiedzieć, że jest wprost proporcjonalny do wielkości przedsiębiorstwa.

KAROL BADZIAK





# FILM

Wybrać aktora roku — takie zadanie nigdy nie należy do łatwych. Aktor roku — może to być przecież jedna rola takiej wagi, że zdyktuje wszystkie konkurencyjne, ale rola gdzie — w teatrze, filmie, telewizji? Nie sposób dziś rozpatrywać

Mając na uwadze ową wielomilionową widownię telewizyjną i kina, mógł w tym roku mieć jednego konkurenta, był nim na pewno Andrzej Lapicki ze swymi kreacjami w filmie Tadeusza Konwickiego „Jak daleko stąd, jak blisko” i w spektaklu telewizyjnym przez siebie realizowanym „Lucy Crown”. Zbigniew Zapasiewicz, aktor średniego pokolenia, znany widowni telewizyjnej wcześniej, niżeli filmowej. W marcu 1972 roku otrzymał „Złoty kran” za rolę Hrabiego w „Panu Tadeuszu”, Didięgo w „Czekając na Godot”, Puzkina w „Maskaradzie” i za rolę naukowca w telewizyjnym filmie „Za ścianą”. Od tego

Skala możliwości aktorskich Zbigniewa Zapasiewicza wynika z jego artystycznej osobowości. Zapasiewicz jest aktorem dalekim tej bogatej przecież w sukcesy tradycji aktorskiej, którą zwykliśmy określać intuicjonizmem, daleki jest również szansie, jaką dają aktorom często tzw. predyspozycje zewnętrzne czy fizyczne. Zapasiewicz reprezentuje typ aktorstwa intelektualnego, jest świadomym interpretatorem osobistego stosunku do postaci i funkcji, jaką jej wyznaczył autor, bez względu na to, czy jest nim romantyczny poeta, czy epik XX wieku, czy scenarzysta i reżyser współczesnego filmu. Z. Zapasiewicz, aktor o-



# CO NAS CZEKA W 1973 ROKU?

Jak informuje resort kinematografii, rok ubiegły zamknęło 20 premierami polskich filmów fabularnych. Rok 1973 prawdopodobnie przyniesie 22 premiery. Jak wiadomo rok 1973 — rok obchodów 550-lecia urodzin Mikołaja Kopernika uświetniony zostanie również filmami historyczno-dokumentalnymi i fabularnymi. Wśród nich oczekuje na premierę dwuseryjny barwny film EWY i CZESŁAWA PETELSKICH „KOPERNIK”, o którego realizacji dość szeroko i szczegółowo nas informowano.

Bardzo interesująco zapowiada się „WESELE” ANDRZEJA WAJDY, według dramatu Stanisława Wyspiańskiego. Sądzimy, że wokół tego filmu rozwinie się dyskusja nie mniejsza, niż wokół poprzednich dzieł filmowych Andrzeja Wajdy.

Dwie pierwsze części „POTOPU” według Trylogii Henryka Sienkiewicza przedstawi JERZY HOFFMAN wraz ze znanymi aktorami: DANIELEM OLBRYCHSKIM, TADEUSZEM LOMNICKIM, MALGORZATĄ BRAUNEK i „nowym” Zagłobą — KAZIMIERZEM WICHNIARZEM.

Bardzo ambitnego i niezwykle trudnego zadania adaptacji prozy Bruno Schulza podjął się WOJCIECH HAS, który po kilku latach od premiery swojego ostatniego filmu — „Lalki”, zaprezentuje w roku 1973 swój nowy film „SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ” z JANEM NOWICKIM, TADEUSZEM KONDRATEM, GUSTAWEM HOŁOUBKIEM i MIECZYSLAWEM VOITEM w rolach głównych.

Historię ostatniego żołnierza II Rzeczypospolitej na terenie okupowanej Polski i pierwszego partyzanta ostatniej wojny „SZALONEGO MAJORA” Hubala ukaże w barwnym, dwuseryjnym filmie BOHDAN PORĘBA.

Autor „Poludnika zero”, WALDEMAR PODGÓRSKI, zrealizował swój drugi film fabularny, sensacyjno-szpiegowski opowieść „DROGA DO MONACHIUM”.

Według scenariusza ANDRZEJA SZCZPIORSKIEGO, STANISŁAW LENARTOWICZ przedstawi współczesny dramat „OPETANIE”.

KRZYSZTOF ZANUSSI, autor wielu świetnych filmów, zrealizował według własnego scenariusza „ILUMINACJE”.

Problemy współczesnych polskich lotników ukaże JULIAN DZIEDZINA w filmie „JAK NA NIEBIE, TAK NA ZIEMI”. Sprawy naszej współczesności podjął także w komedii „POSZUKIWANY — POSZUKIWANA” STANISŁAW BAREJA.

Dla widowni młodzieżowej i dziecięcej przygotowane są m. in. dwie premiery. Po dość długim okresie produkcji ukaże się wreszcie pierwsza część „W PUSTYNI I W PUSZCZY” WLADYSŁAWA ŚLESICKIEGO według powieści Henryka Sienkiewicza oraz „JEZIORO OSOBLIWOŚCI” JANA BATOROEGO według powieści Krystyny Siesickiej.

Oczywiście nie wymieniliśmy wszystkich polskich filmów fabularnych, których premiery będą odbywały się w roku 1973.

ANNA NOWAKOWSKA

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

# GDYBYM TYPOWAŁA AKTORA ROKU

tych aktorskich pól działania osobno, choć do reguły należy aktorska deklaracja po stronie teatru, gdy prowadzący z aktorem rozmowę pytanie to, moim zdaniem, nieopatrznie zada. Odpowiedzi innej być nie może i w szczerą jej trudno nie wierzyć, choć pełna aktorska osobowość kształtuje się dziś niewątpliwie w konkretyzacji wszystkich wymienionych wyżej współczesnych sztuk widowiskowych. Nie można też nie pamiętać o fakcie jednym — dla tysięcy, a nawet milionów ludzi aktor — Zbigniew Zapasiewicz — to przede wszystkim aktor telewizyjny i filmu, im bowiem nie dane jest zobaczyć go w teatrze „żywego planu” czyli w teatrze klasycznym.

A więc jednak ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ, tym razem w roli aktora roku.

czasu przygotował rolę w telewizyjnym spektaklu według E. Hemingwaya „Słońce też wschodzi”, w „Biografii” M. Frischa i w „Wyborze” A. Arbusowa, na ekranach kin zaś pojawił się w filmie „Ocalenie” E. Żebrowskiego. A przecież wyliczone tu tytuły to naprawdę pozycje ostatnich dwu lat i warto przypomnieć choćby jeszcze tylko rolę Pieczorina w „Księżniczce Mery” według Lermontowa, narratora w telewizyjnej adaptacji „Cichego Donu”, uczonego w radzieckiej sztuce „Godzina miłości”, czy w filmie telewizyjnym „Szansa”, by uświadomić sobie wielką gatunkowo i stylistycznie różnorodność kreacji Zapasiewicza — aktora dramatu, groteski, poematu epickiego, aktora romantycznego gestu i współczesnego skupienia.

szczeremu gestu i mimiki, absolutnej dyscypliny w operowaniu intonacją głosu, wyraża swe postacie swoim wewnętrznym światem aktora intelektualnego, myślącego i oceniającego tych, których gra. Wynika z tego zawsze owa nie zamknięta nigdy jednoznaczność postaci — bohaterowie Zapasiewicza nigdy nie są jednoznacznie dobrzy lub źli, żołądźni i śmieszni, lub tragiczni, bowiem człowiek mądry nigdy nie zdobywa się na oceny skrajne. Zaznaczyć przy tym trzeba, że w interpretacjach Zapasiewicza nie ma nic z „lagodności” czy pełnej serdeczności wobec bohaterów, których kreuje, więcej w nich smutnej ironii i zrozumienia. Tak zagrał Zapasiewicz Al. Puzkina w „Maskaradzie”, tak zagrał docenta w „Za ścianą” — nie ma bo-

wiem w jego aktorstwie różnic w osobistym stosunku do bohaterów, których odzwierciedla, bez względu na to, czy są to postacie autentyczne, bądź obrosłe wiekową tradycją literacką czy teatralną, czy jest to niemal modelowa postać człowieka współczesnego.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt, przecież w filmach „Szansa”, „Za ścianą”, czy „Ocalenie” grał w zasadzie tę samą postać. Jeśli nas nią nie znużył i jeśli potrafił zawsze od nowa przykuwać naszą uwagę, budzić dyskusję w ich interpretacjach i ocenach, to znaczy, że swoje kreacje, czyli swój stosunek do postaci, kształtuje ciągle na nowo, bo przecież ludzi określa konteksty sytuacyjne i moralne. Wróży to ciągle niespodzianki, momenty zaskoczeń w spotkaniach z postaciami Zbigniewa Zapasiewicza, w odkrywaniach prawdy o nich, ukrytej zawsze głęboko i niejednoznacznej. Prawdy, którą aktor stara się jednak zawsze poznać przed nami wcześniej po to, by i nas zmusić do myślenia.

# Jak awansować DO I LIGI?

U progu nowego roku zwykliśmy bardziej interesować się tym, co nas czeka, bywa jednak i tak, że oglądamy się wstecz, bo to, co za sobą zostawiliśmy, określa często to co nadejdzie. Wydawać by się mogło, iż w takiej dziedzinie życia, jak sztuka, tego typu przypuszczenia mają się z celem: moment niespodzianki jest tu bowiem większy, niż gdzie indziej, jej twórcami są przecież ludzie zwani artystami, a talentu i sukcesu się nie zaplanuje i nie przewidzi.

W filmie, w którym nie wszystko jest sztuką, ba, gdzie nie wszystko można nawet nazwać rzemiosłem, a już na pewno rzemiosłem artystycznym, można sobie jednak pozwolić na spojrzenie wstecz po to, by wyobrazić sobie rok następny. W filmie polskim zaś, szczególnie widocznym brak niespodzianek pozwala snuć prorocstwa, które, o dziwo, wbrew jednemu z najważniejszych przyszłości, właśnie się sprawdzają. Debiut — wielka niespodzianka, zachwycenie, odkrycie zdarza się raz na kilka, a nawet kilkanaście lat, a ruytyna — przekształcona, odmłodzona — jeszcze rzadziej.

Pozostając w świątecznym nastroju, proponujemy dziś mały bilans owego stanu posiadania, elementów niespodzianek, czy rozczarowań kończącego się roku — polskiej kinematografii, a także małą próbkę prorocstwa na jej rok następny. Pozostając w świątecznym nastroju, proponujemy też małą zabawę, która może nie przystoi, by się jej poddać w świątyni sztuki, ale rozgrzeszy ją, mijamy na-

dzieje, tak ów nastrój, jak i wyłożone wyżej zwątpienie, co do jednoznaczności słowa sztuka w odniesieniu do filmu.

Nie ulega wątpliwości, że w roku 1972 wszystkie sztuki widowiskowe, a wśród nich i film pobite w polu zostały przez „największe widowisko świata”, widowisko o najwyższej dramaturgii i największej ekspresji — przez Olimpiadę. Niech więc Rok Olimpijski usprawiedliwi również ową proponowaną zabawę. Stałe spotkanie ze sportem, zaktywizowane Olimpiadę, ale podtrzymywane dzięki telewizji w każdym domu, nawet nie kibiców potrafiły wprowadzić w świat sportowych kategorizacji. Pojęcia extra-klasa, I liga, II liga, tudzież niższe stopnie sportowych poziomów i kwalifikacji, zastosujemy raz w odniesieniu do zespołów, których wspólne działanie określa wynik, którym jest zrealizowany film. Kryterium kwalifikacji być tu może tylko wewnętrzna wartość i walory artystyczne filmu, nigdy zaś ilość kibiców — publiczności; ją przecież posiada każda, nawet wiejska czy szkolna drużyna sportowa i nie ona decyduje o ich poziomie.

Nie było w tym roku pełnych filmów fabularnych wiele, do chwili, gdy piszemy te słowa, doczekało się premiery 19 tytułów, co w porównaniu z 25 tytułami z roku 1971 budzi lekki niepokój. Wzrost produkcji (zw. filmów telewizyjnych) nie powinien rzeczy tej usprawiedliwiać. Fakt, iż zapowiadano więcej tytułów, że kilka gotowych czeka na swe premiery, każe sądzić, że rok 1973, z pośliz-

gu, uzyska liczbę premier na nasze warunki imponującą. Ale chyba nie tędy droga — liczba 30 tytułów rocznie winna być stałą wizytówką możliwości naszej kinematografii. Jak się jednak owe 19 tytułów ma do zaproponowanej wyżej klasyfikacji, jako że nie ilość jeszcze mówi o randze, choć dyalektyka mówi o stosunku ilości i jakości.

Extra-klasa czyli film polski w międzynarodowej konkurencji

Udało się, w tym roku się udało, choć znów bardzo „po polsku”, czyli z małą porcją szaleństwa. Najwybitniejszy polski film roku 1972 zrealizował niezawodowy filmowiec, zrobił wielki film, odkrywając nieznane dotąd możliwości kina, bijąc na głowę wielu awangardowych i poszukujących twórców światowego filmu ostatnich lat. Zrobił film, który wewnętrznie — ideowo i intelektualnie — jest tak bardzo polski, że może nie przełamać barierę zrozumienia poza granicami kraju. „JAK DALEKO STĄD, JAK BLISKO” Tadeusza Konwickiego prezentując absolutną doskonałość jedności formy i treści, może w konkurencji międzynarodowej przegrać, choć nie jest to tak oczywiste, jeśli przypomnimy choćby międzynarodowe sukcesy brazylijskiego „Antonia das Mortes”, tak specyficznie narodowego dzieła.

I liga czyli o różnicach poziomów

„PERLA W KORONIE” Kazimierza Kutza nie budziła żadnych wątpliwości. Tu cecha narodowości i ludowości może być tylko magnesem przyciągającym również zagranicznego widza. Cała uroda tego filmu wywiedziona z najpiękniejszych tradycji śródziemnomorskiej kultury i podporządkowana świadomej koncepcji artystycznego prze-

tworzenia, idąc w parze z niezwykle mądrym i szlachetnym wywodem ideowym, oznaczyła wysoką klasę dzieła K. Kutza. Rzadki w naszym kinie przypadek szczerości i artystycznej świadomości celu nie był w twórczości tego reżysera zaskoczeniem, a wyprzedził go, w przekonaniu piszącej te słowa, starsza „Sól ziemi czarnej”.

„SŁOŃCE WSCHODZI RAZ NA DZIEŃ” — film Henryka Kluby, odczekawszy swój czas premiery, usatysfakcjonował bywałców kin studyjnych i klubów filmowych. Czas mu nie zaszkodził, a wiemy, jak wielkim on bywa wrogiem filmów. Ujawnił swą trudną mądrość przed tymi, którzy chcieli ją poznać, zdumiał artystyczną dojrzałością tych, którzy z ogromnym smutkiem witali te filmowe propozycje Kluby, które nastąpiły po „Chudym i innym”.

Na niższych stopniach tej tabeli wypada niewątpliwie ulokować dwa filmy, w zasadzie niespodzianki, choć być nimi wcale nie powinny. Niestety, jak dotąd, poza małymi wyjątkami debiut rzadko u nas bywał niespodzianką na „tak”. Przypomnijmy zatem „moene uderzenie” z początku roku, czyli „TRZECIA CZĘŚĆ NOCY” Andrzeja Żuławskiego, film zapowiadający dojrzałą i ciekawą artystyczną indywidualność i film, sam w sobie, budzący kontrowersyjne opinie — od słów absolutnego zachwyty do głębokich wątpliwości tak natury ideowej jak i artystycznej. Takie debiuty pozwalają jednak myśleć optymistycznie o przyszłości polskiego kina.

Przypomnijmy także debiut Edwarda Żebrowskiego czyli „OCALENIE”. Debiut to był reżyserski tylko E. Żebrowski, człowiek kina, dał się poznać wcześniej jako autor czy współautor scenariuszy filmów Krzysztofa Zanussiego. „Ocalenie” było tylko potwierdzeniem jego współdziałania w tamtych filmach. Było do bramy prognostykami ciekawych scenariuszy na przysz-

łość i solidnego warsztatu reżyserskiego co przy miłośkości intelektualnej i niezadarności rzemieślniczej produktów rodzimej kinematografii jest walorem niebagatelnym. I to w tej tabeli już wszystko, bo umieszczenie filmu Jana Łomnickiego „Poślizg” mimo międzynarodowych laurów (Karlove Vary) na pierwszym miejscu w II lidze, nie czyni mu, sądzimy, krzywdy.

II liga czyli gdzie „B—pictures”?

„POŚLIZG” J. Łomnickiego jest tu prawie ewenementem, film, o którego rangę intelektualną szkoda się spierać, choć walczył o nią sam reżyser. Chwała mu za to, że zrobił dobry, sprawny warsztatowo film. Może szkoda, że stracił okazję na awans do I ligi, byłby bowiem po temu dane. Trochę zbyt wiele czuliśmy w tym filmie europejskich i dalszych zapożyczeń, ale nie ma się co tamtej szkolnej filmowej roboty wstydić. Przeciwnie, warto by się w niej nieco pouczyć, nawet korzystając czasem ze ściąga-tek.

„Poślizg” — i co dalej? Nie popełnimy chyba błędów, jeśli stwierdzimy, iż ta klasa filmów, którą w przyjętej ogólnej nomenklaturze, nazwamy „B—pictures” i na której stoi światowa produkcja, prawie u nas nie istnieje. Czego żądamy od tej grupy filmów? — oczywiście wysokich walorów szeroko rozumianej rozrywki. Mogą to być filmy gatunków najrozmaitszych: od komedii i kryminału po filmy psychologiczne. Określają je dobre scenariusze i aktorstwo, a nade wszystko świetne filmowe rzemiosło. Konia z rzędem temu, kto walorów tych dopatry się w takich terozocznych propozycjach, jak: „150 NA GODZINĘ” W. Jakubowskiej, „BRYLANTY PANI ZUZY” P. Komorowskiego, „AGENT NR 1” Z. Kuźmickiego, „SEKSOLATKI” Z. Hübnera, i „SZEROKIEJ DROGI KOCHANIE” A. Piotrowskiego. Pozornie filmy te wy-

pełniają wszystkie punkty mapy filmowej rozrywki — dano nam bowiem kolejno komedie, kryminał, film sensacyjny, obyczajowy, psychologiczny. Co z tego wyszło, doświadczyliśmy na własnej skórze wszyscy. Na rok następny trzeba by się przygotować na wcale nie lepsze czasy — wszystkie te filmy robili przecież tzw. doświadczeni filmowcy, czy w ciągu roku naucaż się robić dobre filmy? W tabeli II ligi znajdują się w przyszłym roku nadal vacaty. Może nie na wszystkie miejsca, bo i w roku, który żegnamy, kilka sześciu można jednak obsadzić. Oglądaliśmy przecież niezlą „ZARAZĘ” R. Zaluskiego, poprawily film J. Passendorfera „ZABIJCIE CZARNA OWCE”, ambitne, lecz, niestety, nieudane propozycje takie, jak: „SZKLANA KULA” S. Różewicza, „TEN OKRUTNY, NIKCZEMNY CHŁOPAK” J. Nasfetera, „BOLESŁAW ŚMIAŁY” W. Lesiewicza i jeszcze jeden tenocny debiut „UCIEC JAK NAJBLIŻEJ” J. Zaorskiego. Jak na nasze warunki dużo, bo aż dwie pozycje filmowe przeznaczone dla dzieci, myślę o „PODROZY ZA JEDEN USMIECH” S. Jedryki i „PRZYGDACH PSA CYWILA” K. Szmagiera, przypomniamy jednak od razu telewizyjny rodowód tych filmów.

Nie pierwszy raz stwierdzamy, że coś w polskim filmie jest nie tak — istnieje w nim straszliwa przepaść między ambicjami i umiejętnościami. Zjawiają się w nich od czasu do czasu pozycje wybitne, realizowane przez tych nielicznych, autentycznych artystów naszego kina, i wówczas owa extra-klasa i I ligę udaje się jakoś obsadzić. Natomiast tam niżej dzieją się już rzeczy bardzo smutne. I jeśli czegoś życzyć wszystkim kinomanom i sobie z Nowym Rokiem, to pojawienia się ludzi filmu, którzy umieją kino robić.

EWA NURCZYŃSKA



## Ml. 6 contra Abwehra (1)

# WIELKA GRA WYWIADÓW

Ladislav Farago jest dziś bezspornie jednym z najwybitniejszych specjalistów zachodnich w dziedzinie zagadnień wywiadu i kontrwywiadu. Odnalezione przypadkiem mikrofilmy, pozostawione przez uciekających Niemców w 1945 roku, okazały się nieocenionym wprost materiałem poznawczym, który ujawnia wiele tajemnic niemieckiej służby wywiadowczej z lat 1920—1945. Szczególnie interesujące, i nieznane dotąd, materiały dotyczą działalności Abwehry tuż przed wybuchem II wojny światowej i w czasie jej trwania.

26 czerwca 1940 roku, nazajutrz po kapitulacji Francji, w komfortowym apartamencie hotelu Waldorf-Astoria w Nowym Jorku, zebrało się dość liczne grono ludzi zamierzających i dystygnowanych, by uczcić zwycięstwo Niemców. Gospodarzem tego przyjęcia był niemiecki adwokat, Gerhard Alois Westrick, od niedawna zamieszkały w Stanach Zjednoczonych, a jego paszport dyplomatyczny wskazywał, że jest radcą handlowym ambasady niemieckiej. W rzeczywistości przebywał w Stanach z misją specjalną i delikatną zarazem, której głównym celem było „zyskanie życzliwości wielkiej finansjery amerykańskiej dla Niemiec”.

W raporcie przesłanym nazajutrz do Berlina, dr Westrick określił swoich gości jako „wybitnych przemysłowców i finansistów” i dodał: „leży w interesie naszych operacji, by na razie nie wymieniać ich nazwisk”. Wśród osób przybyłych na to wytworne przyjęcie byli m. in.: pułkownik Sosthenes Behn — generalny dyrektor International Telephone and Telegraph Company, Ralf Beawer Strassburger — milionier z Pensylwanii, finansista, właściciel kilku dzienników i znany sportowiec James D. Mooney — dyrektor Elliot Fisher Company i International Milk Corporation.

Ci wybitni przedstawiciele wielkiego biznesu amerykańskiego nie darzyli jakąś specjalną sympatią nazistów, ani nawet Niemców, ale byli to po prostu ludzie interesu i uważali za korzystne nawiązanie w tym momencie kontaktów z Niemcami za pośrednictwem Westricka.

Honory domu pełnił kapitan Torkild Rieber z Texas Company. Westrick interesował go zarówno ze względów osobistych jak i zawodowych. Spośród wszystkich osób obecnych tego wieczoru na przyjęciu, Rieber odgrywał główną rolę w tym co Westrick określił w swym raporcie jako „nasze operacje”. Kapitan bowiem nie tylko patrolował interesom już realizowanym, ale także „osobiście współpracował z marszałkiem Goeringiem w nawiązywaniu nowych kontaktów handlowych. Rieber, kapitan marynarki handlowej, Amerykanin pochodzenia norweskiego, w 1935 roku osiągnął apogeum swojej kariery, zostając prezesem rady administracyjnej Texas Company, w skrócie — Texaco. W 53 roku życia zdobył rynki całego niemal świata dla operacji handlowych Texaco. Miał ogromne doświadczenie i znał wszystkie niuanse walki z rządem amerykańskim, którą toczył na różne sposoby, gdy zaopatrywał gen. Franco w produkty naftowe podczas wojny domowej w Hiszpanii. Tankowce Texaco, napelnione po brzegi naftą, wypływały z portu Galveston, biorąc kurs na Anvers w Belgii. Nieraz, na pełnym morzu, kapitanowie statków otwierali załakowane koperty, znajdując w nich polecenia o zawianiu do portów południowej Hiszpanii, znajdujących się podówczas w rękach Franco. Gdy o tych tajnych operacjach dowiedział się Roosevelt, ostrzegł Riebera, że jeżeli jeszcze choć raz osmieli się naruszyć konwencję o neutralności Ameryki, kapitanowie tych statków zostaną usunięci, a Texaco — oskarżone

o spisek. Mimo to Rieber nie przestał zaopatrywać gen. Franco w naftę, kierując tankowce do portów faszystowskich Włoch, gdzie dokonywano przeładunku nafty na inne statki handlowe.

### „DOSKONAŁY INTERES” DR FETZERA

Właśnie w okresie tych potajemnych kontaktów z frankistowską Hiszpanią Rieber zetknął się z pewnym Niemcem, który go przyciągnął na orbitę wpływów nazistowskich. Chodziło tu o dr Friedricha Fetzera, szefa zaopatrzenia marynarki niemieckiej w paliwo płynne. Podczas spotkania w Rzymie w 1938 roku, Feterowi udało się przekonać Riebera, że Texaco zrobi „doskonały interes”, współpracując z Niemcami. Kapitan przyjął propozycję i w okresie pierwszych dziewięciu miesięcy 1939 roku, do momentu hitlerowskiej napaści na Polskę, tysiące ton produktów naftowych, płynących statkami z Barco w Kolumbii, skierowano do Niemiec. Miliony marek niemieckich gromadziło się w banku w Hamburgu na koncie amerykańskiego towarzystwa, ponieważ Niemcy nie mogli eksportować dewiz.

We wrześniu 1939 roku działania wojenne w Polsce nie przerwały transportów nafty do III Rzeszy, bowiem Rieber omijał blokadę, kierując tankowce do portów neutralnych, skąd nafta płynęła na innych statkach w określonym kierunku...

Podczas dwugodzinnej rozmowy z Goeringiem, marszałek III Rzeszy, serdeczny, ale czujny, powiedział Rieberowi, że Niemcy liczą na większe dostawy nafty: Texaco musiałoby kontynuować transporty nafty wbrew blokadzie brytyjskiej, a Rieber powinien osobiście brać udział w „pewnych operacjach” niemieckich w Stanach Zjednoczonych. Widząc jego nieznajomość skomplikowanej gry politycznej, nie nalegano, by prowadził akcję przeciwko polityce Roosevelta, lecz życzone sobie, żeby jedynie zachęcał amerykańskich biznesmanów do współpracy z Niemcami. Niemcy postanowili również wysłać do USA swego specjalnego emisariusza, który by mu pomógł w wykonaniu tego zadania. Do odegrania tej roli wybrano właśnie dr Westricka, który już od lat reprezentował w Niemczech interesy kilku wielkich towarzystw amerykańskich.

Westrick opuścił więc Niemcy i 17 kwietnia 1940 roku przybył do San Francisco, a następnie do Nowego Jorku. Rieber wynajął mu biuro w gmachu Texaco w Nowym Jorku oraz dom dla niego i jego uroczej małżonki w dzielnicy Scarsdale. Ponadto kupił mu Buick'a za półtora tysiąca dolarów, a nawet opłacił wspomniane przyjęcie w hotelu Waldorf-Astoria. Dzięki pomocy Riebera, Jamesa Mooney'a z General Motors oraz innych osób, Westrick, wydawałoby się, osiągnął zamierzony cel: 27 czerwca 1940 roku poinformował Berlin, iż wpływała grupa wybitnych osobistości, kierowana przez Mooney'a, zgodziła się wywrzeć nacisk na prezydenta Roosevelta, aby polepszył stosunki z Niemcami, wysyłając natychmiast ambasadora amerykańskiego do Berlina oraz wstrzymał dostawy broni do Wielkiej Brytanii.

W połowie lipca 1940 roku Westrick widział się w Detroit z Henrym Fordem i jego synem Edsemem, szukając poparcia dla planu zmuszenia Anglików do podpisania układu pokojowego, korzystnego dla nazistów. Następnie rozpoczął usilne starania o pożyczkę amerykańską dla Niemiec w wysokości pięciu miliardów dolarów.

Ta sfera działalności Westricka nie była czymś nielegalnym. W tym samym czasie i w ten sam sposób również Brytyjczycy szukali poparcia dla swej polityki i nawiązywali szerokie kontakty handlowe, licząc na pomoc swych wpływowych przyjaciół w Stanach Zjednoczonych. Jeśli Westrick zdołał zapewnić sobie poparcie takich ludzi jak Behn i Mooney, to tylko dlatego, że biznesmeni amerykańscy nie mieli pojęcia, co właściwie reprezentuje sobą nazizm.

### DR „NIKO” NA PLANIE

Rieber nie zadowolili się tylko pomocą w realizowaniu księżycowych zamierzeń Westricka. W grudniu 1939 roku, w momencie, gdy finalizował rozmowy z Goeringiem, zetknął się z innym Niemcem — dr Nicolasmem Bensmannem, współnikiem firmy Herman Bensmann and Co w Bremie, który reprezentował biuro patentowe Texaco w III Rzeszy. „Niko” Bensmann był rządowym ekspertem w dziedzinie zagadnień naftowych w USA.

Ale kapitan Rieber nie wiedział, że ów dr Bensmann był jednocześnie oficerem niemieckiego wywiadu i głów-

nym specjalistą Abwehry w zakresie problemów naftowych w ogóle.

Gdy więc w grudniu 1939 roku Rieber udał się do Niemiec, jowialny Niko towarzyszył mu podczas całej jego podróży po Niemczech i zachęcał go do „rozszerzenia” współpracy z Niemcami, pracując dla Abwehry. Bensmann nie powiedział mu oczywiście, że jest pracownikiem wywiadu, co byłoby zresztą nie do pomyślenia, lecz pozwolił mu się domyślać, iż posiada w Abwehrze doskonałe kontakty, co może być nader użyteczne dla Texaco.

Pod koniec pobytu w Niemczech Rieber zaczął odczuwać trudności w załatwianiu pewnych spraw towarzyszących z powodu drobiazgowości i rozbudowanej biurokracji oraz głupiej arogancji funkcjonariuszy niemieckich, z którymi się stykał. Niemniej, w zamian za pomoc w takich czy innych sprawach, zresztą dzięki interwencji Abwehry, zgodził się wyświadczyć Niemcom kilka usług.

Jeden z najlepszych raportów o „siatki Riebera”, datowany z lata 1940 roku, był niezwykle precyzyjny i zdumiewał znajomością szczegółów z zakresu amerykańskiej produkcji lotniczej, opartej na analizie zapotrzebowania na benzynę i smary. Raport dotarł do Abwehry w formie dossier o objętości pięćdziesięciu ośmiu stron maszynopisu, za pośrednictwem przedstawiciela Texaco, który przyjechał do Niemiec. Dossier zawierało wyniki różnych badań, tajnych lub nie, urzędowych i półurzędowych, opracowanych w przeważającej części przez wysokich funkcjonariuszy i ekspertów, pracujących dla rządu amerykańskiego. Syntezę i wnioski do raportu opracowali ekonomiści z Texaco. Wynikało z nich, że przemysł amerykański jest całkowicie zdolny do wyprodukowania pięćdziesięciu tysięcy samolotów, o co zabiegał prezydent Roosevelt.

Raport wywołał w Abwehrze tak poronujące wrażenie, iż admirał Canaris, który nie wiedział jeszcze, że Hitler z pogardą odrzucił całą tę informację, która nie potwierdzała jego kalkulacji i jego intuicji, zdecydował się przedłożyć ją fuhrerowi osobiście. Daremny trud. Hitler zadowolony się wzruszeniem ramion i nawet zagroził, że ukarze każdego, kto uwierzy w „tego rodzaju defetystyczne brednie”.

— Powiada pan, pięćdziesiąt tysięcy samolotów? — spytał Canarisa. — Musiał pan chyba postradać rozum, żeby poważnie brać podobne bzdury! Pięćdziesiąt tysięcy zabawkę z gumy, żeby uspokoić biedne, małe dzieci amerykańskie. To możliwe. Ale pięćdziesiąt tysięcy samolotów?! Niech pan nie będzie śmieszny!...

Ten incydent położył kres użyteczności szpiegowskich zabiegów Bensmanna. Jeszcze przez pewien czas zbierał informacje o nieustannym wzroście amerykańskiego potencjału wojennego. Ta bajeczna potęga militarna Stanów Zjednoczonych robiła na nim ogromne wrażenie, podobnie zresztą, jak i na jego kolegach z Abwehry. Ale już nikt więcej nie osmielił się przekazywać fuhrerowi informacji tego rodzaju, ani nawet kierować ich do wewnętrznego obiegu. A szef Abwehry, admirał Canaris, doszedł do wniosku, że położenie Niemiec jest beznadziejne, i że jego kraj stoi w obliczu nieuchronnej klęski... (c.d.n.)

Opr. J. CZECH

ŁÓDZIANIE 1972 (KUPON PLEBISCYTOWY)	
1. Leon Gomolicki	.....
2. Paweł Kowalski	.....
3. Zofia Mitkiewicz	.....
4. Leszek Różga	.....
5. Stefania Skwarczyńska	.....
6. Bogusław Sochnacki	.....
7. Ryszard Stanisławski	.....
8. Jerzy Werner	.....
9. Zdzisław Wyrzykowski	.....
10. Aleksander Zwierko	.....
Nazwisko i imię	.....
Adres	.....
Zawód	.....

## Fotoreporter z królewskiej rodziny

Ma czterdzieści dwa lata. We wczesnej młodości zapadł na chorobę zwaną polio lub inaczej Heinego-Medina. Gdy wracał do zdrowia matka podarowała mu mały aparat fotograficzny. Tak się zaczęła fotograficzna kariera Tony Armstronga-Jonesa, od lat dwunastu lorda Snowdon.

Młody Tony studiuje w elitarnych szkołach angielskich. Utyka na nogę, ale ta pozostaje po przebytej chorobie nie przeszkadza mu w uprawianiu sportu. W Cambridge, gdzie studiuje architekturę, choć nie zdobywa dyplomu, należał w roku 1950 do zwycięskiej obsady wiosłarskiej ósemki. W dziesięć lat później, mając już za sobą studia fotograficzne, Tony Armstrong-Jones poślubił księżniczkę Małgorzatę, siostrę królowej brytyjskiej.

Jako uczeń miał swe fotograficzne laboratorium na zapleczu jakiejś apteki, dziś w Kensington Palace posiada

lśniącą szklę, wspaniałą ciemnie fotograficzną.

Ale wejście do brytyjskiej rodziny królewskiej wcale nie ułatwia mu umiłowanej pracy fotoreporterskiej. Bo oto człowiek, który jako fotoreporter uganiał się za innymi, teraz nagle staje się obiektem zainteresowania swych kolegów po fachu, zwłaszcza z prasy sensacyjnej. Tak więc Tony z myśliwego sam staje się zwierzyną łowną. Kiedyś pięćdziesiąt dziennikarzy z aparatami fotograficznymi na targach w Kolonii goñi lorda Snowdona na jego wystawie fotograficznej, a ten ucieka jak nieprzyjaciół, chowając się gdzieś w kącie przed tym najzdem.

Armstrong-Jones uważany słusznie czy niesłusznie za jednego z najwybitniejszych fotografów naszych dni, na pewno jest jednak fotografikiem najbardziej wszechstronnym. Jego zainteresowania są bardzo różnorodne. Fotografuje na ulicy i we wnętrzach, w pałacach i w mieszkaniach

robotniczych, fotografuje gwiazdy teatru i filmu, Zofie Loren kąpiącą się z synkiem w wannie w jej ogrodzie, malarzy w ich pracowniach, dzieci na ulicy i strip-tease w nocnym klubie. Jego dziełem są wspaniałe akty kobiece m. in. pełen nastroju i wdzięku akt siedzącej Murzynki. Fotografuje zakochane delfiny podwodną kamerą umieszczoną w olbrzymim akwarium. Niektóre z fotografii Armstronga-Jonesa są tak silne w nastroju, tak mocne w wyrazie, że upamiętniają się na długo. Kto raz widział zdjęcie Heleny Lessore, dyrektorki galerii Sztuk Pięknych w Londynie nie zapomni tego szybko. Oto samotna kobieta siedzi na tapczynie pośrodku pustej, ciemnej sali. W tle jakiegoś obrazy wiszą na ścianach. Wyeksponowana, wydłużona twarz starej kobiety, białe ręce splecione na kolanach, czerni sukni korespondująca z czarnymi pantofkami i takimiż pończochami, a nade wszystko wyraz melancholijnej twarzy — wszystko to staje się już nie tylko portretem starszej kobiety, ale symbolem osamotnienia w starości. Zdjęcie wielokrotnie publikowane w różnych czasopiśmie wiściato przez kilka lat w jednej z sal Kensington Palace. Musiano je wreszcie zdjąć. Wywoływało zbyt melancholijny nastrój.

Co mówi sam lord Snowdon o fotografii i sztuce fotografowania? Bardzo niewiele. „Fotografia nie jest sztuką — powiada — ale całkiem prostym mechanicznym zabiegiem. Aparat pozwala człowiekowi, który nim się posługuje, „zamrozić” określony moment. I kiedy wybierze się właściwą sekundę, wtedy zdjęcie jest dobre”.

Bagatel! Wybrać właściwą sekundę! Lord Snowdon jest albo zbyt skromny, albo sobie po prostu żartuje. Przypomina to wypowiedź słynnego Michała Anioła, który twierdził, że rzeźbienie to jest bardzo łatwa i prosta sprawa. Wystarczy z bloku kamienia odpuścić tylko to co zbędne.

Cokolwiek by można powiedzieć o fotografiach Armstronga-Jonesa jedno nie ulega wątpliwości, że są one dziełami sztuki. Odznaczają się wielką ekspresją, świetną konstrukcją obrazu, zdradzają dużą kulturę i znajomość teorii sztuki, a ponad wszystko intuicję pozwalającą na użycie prostymi środkami wyjątkowo artystycznego efektu. Jest to po prostu talent. Pisarz Francis Wandham, z którym fotograf się przyjaźnił, opisał go w ten sposób:

„Jego nerwowa troska, aby nie popełnić błędu wzrasta w miarę zdobywania doświad-

czenia... Każdą nową pracę rozpoczyna jak nową przygodę. Radość z oczekiwanego efektu zabarwiona jest zawsze bezpodstawnym lekciem”.

Fotografia zawodowa... fotografia amatorska... Lord Snowdon twierdzi, że nie istnieje fotografia zawodowa, ani amatorska. Według niego jest fotografia albo dobra albo zła. Sam nie jest już od lat dwudziestu amatorem. Jest zawodowcem, pracując zarobkowo dla wielu czasopiśmie ilustrowanych takich jak „Vogue”, „Look”, „Paris Match”, „Sunday Times Magazine”.

Tony Armstrong-Jones nie fotografuje nikogo wbrew jego zgodzie. W przeciwieństwie do swych niektórych kolegów reporterów, którzy w pogoni za efektem fotograficznym potrafią nieraz zapominać o zasadach etyki zawodowej, a w skrajnych przypadkach nawet uczestniczyć w zbrodni, byle złapać w obiektyw interesującą scenę, lord Snowdon cofa się przed zrobieniem zdjęcia, które mogłoby przynieść komuś szkodę lub sprawić mu przykrość.

„Śmieję się z ludzi — mówi — jedynie wtedy kiedy wiem, że nie przyniesie im to uszczerbku”.

W Pensylwanii jest sekta Amish, której członkowie nie

uznają żadnych osiągnięć technicznych. Nie jeżdżą autami, nie używają telefonów, nie posiadają aparatów fotograficznych. Nie pozwalają się też fotografować. Lord Snowdon dokonał jednak tego, że owi sektekarze chętnie pozwolili mu do zdjęć. Na portrecie Marieny Dietrich, bardzo zresztą charakterystycznym dla wielkiej aktorki filmowej, nawet wmontowanie dymu z papierosa z innego zdjęcia, Armstrong dokonał na jej wyrażne życzenie.

W czym Tony Armstrong-Jones, lord Snowdon widzi swe zadanie jako fotografa? Mówi:

„Chciałbym we wspomnieniach pozostać jako prosty i prostolinijny fotograf-dokumentalista, który wyjaśnia dzieje w najprostszym jak tylko można sposób. I to jest najtrudniejsze...”

I ma na pewno rację, że to najtrudniejsze. Bo prostota w sztuce to umiejętność uchwycenia i wyeksponowania tego co istotne, przy pominięciu dodatkowych, zaciemniających wizję twórczą elementów.

Album ze zdjęciami wykonanymi przez Tony Armstronga-Jonesa ukazał się ostatnio we Francji nakładem Editions du Chene.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ



